Nr. 10. Poznań, niedziela 8-go marca 1896. Rok III.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę. Redakcya: Poznań, św. Marcin 22 II p. Administracya: Piekary nr. 6. Rękopisów drobnych nie zwracamy.

PRZEDPŁATA KWARTALNA wynosi w Poznaniu 4,00 mrk. Przyjmuje Administracya: Piekary 6. w Niemczech i Austryi 5,00 mrk. (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce 5,50 mk. — Prenumeratę przyjmują Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.

OGŁOSZENIA: 20 fenigów od wiersza petytowego.

Pojedyńczy numer: w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen.

TREŚĆ.

Poezya a rzeczywistość.

(W pamiętniku koła polskiego.)

Z trybuny sejmu pruskiego odezwało się znowu Bismarckowskie echo — silniejsze jednak niż w ostatnich latach — nietylko w treści lecz i w tonie zbliżone więcej do pierwowzoru przeszłości. Czytelnikom naszym znanym jest tenor mowy ministra Bossego z stenograficznych sprawozdań czasopism codziennych, — rekapitulować więc tej nowej edycyi starego i niezmiennego „Ausrotten“ nie mamy potrzeby. Jedno tylko pragniemy tu zapisać ku wiecznej pamięci, jedno wpoić w umysł i serce społeczeństwa, jedno jak niewzruszony obelisk postawić u wrót Koła polskiego: Minister Bosse z satyrycznym grymasem i pychą myśliwca, w którego zręcznie zastawione sidła złapał się zwierz nieostrożny, oświadczył kategorycznie, że ani polska opozycya ani *polskie umizgi* nie zmienią germanizacyjnej polityki rządu, że Polacy żadnych ustępstw spodziewać się nie mają, że wszystko pójdzie starym, Bismarckowskim torem ku zdusześniu polskiego żywiołu. — Podnosimy dalej z akcentem najsilniejszym, że przemówienie ministra oświaty jest *typowem objawieniem* uczuć i dążeń rządu i narodu niemieckiego, nie pierwszym i nie ostatnim momentem odwiecznej walki świata germańskiego z słowiańskim, krwawą satyrą na tych fautastów politycznych, którzy na polskim dachu zatknęli sztandar ugody i przeklinali każdego, kto zrozumiał niemiecką pułapkę i iść się wzbraniał w zatrzask niebezpieczny.

Zdawać by się mogło, że szyderczy okrzyk p. Bossego i ta niedwuznaczna, twarda jak stal zapowiedź walki niemiłosiernej rozbudzi wszystkich marzycieli lojalizmu naszego i znowu prąd trzeźwiejszej atmosfery wprowadzi w duszny zamęt polityki polskiej, Tak by się zdawało, tak być powinno, — a przecież tam jeszcze śpią i marzą i z desperackim fanatyzmem bronią straconych pozycyi. Błędem kardynalnym, który całą akcyę ugodową Koła polskiego powołał do życia i przez długie lata tumanił ogromną część społeczeństwa, było pomieszanie dwóch pojęć odrębnych: polityki i dyplomacyi. Znamienną cechą pierwszej jest zasadniczość, znamienną cechą drugiej chwila przelotna. Wytępić żywioł polski, dokonać asymilacyi wszystkich odmiennych żywiołów narodowych, stworzyć jednolite Niemcy i w Niemczech jeden naród niemiecki, to jest zasada, jądro, *niezmienny i stały* ideał polityki niemieckiej. Od czasu do czasu jednak schować pazury, osłonić nieubłaganą zaborczość maską humanitarną, dwuznacznem słowem nadziei rozczulać ofiarę skazaną z góry na zagładę, to jest praktyczny postulat chwili, broń dyplomacyi.

Naturalną więc jest rzeczą, że zdarzały się nieraz i zdarzać się będą jeszcze niezawodnie takie momenty w zapasach narodowych, w których i najmniejsze grupy parlamentarne zyskają znaczenie dla interesów rządu, a wtedy na trybunie sejmowej, gdzie dziś rozbrzmiewa surowy i szyderski zgrzyt ministra Bossego, błysną uśmiechy zalotne i szepty obietnic, ale to tylko zmiana kostyumu, nie zmiana odwiecznej i nieugiętej zasady. Apostołowie ugody pomieszali pojęcia i dziś jeszcze nie uznają scharakteryzowanych powyżej rozgraniczeń koniecznych. Tym marzycielom wydaje się zawsze, że korne nabożeństwo u stóp ołtarza rządowego może odwrócić ostrze germanizacyjnej polityki. — żaden z nich nie wierzy w niezmienność dążeń niemieckich, — każdy spodziewa się zmiany wiatru wraz z zmianą kanclerza lub ministra i źródło naszych udręczeń upatruje nie w granitowej zasadzie polityki niemieckiej, lecz w osobistych poglądach i uprzedzeniach poszczególnych kierowników politycznych. Wobec takiego bielma na oczach polskich ekwilibrystyka niemiecka ma wdzięczne pole działania, a politycy nasi przypominają owych fanatycznych zwolenników spirytyzmu, który w obliczu faktu, że *wszystkie głośniejsze media* dotychczasowe zostały prędzej czy później zdemaskowane, powtarzają z niezachwianą wiarą, że odkrycie oszustów nie jest bynajmniej klęską doktryny.

Tego rodzaju dogmatyzm jest zawsze szkodliwym, — najszkodliwszym jednak tam, gdzie wkracza w dziedzinę walk politycznych i kieruje losami milionów. Więc, gdy go żadne rozczarowanie, żadne szyderstwo ministeryalne i najwidoczniejsze *minus* w rezultatach złamać nie jest w stanie, należy go spętać siłą opinii publicznej, dotychczas jeszcze apatycznej lub łatwowiernej niestety. Opinia ta wprawdzie z coraz większą nieufnością spoglądać zaczyna na berlińskie iluzye, ale nie jest do dziś dnia tak radykalnie wytrzeźwioną, by odeprzeć energicznie sofistyczne bajeczki, któremi reprezentanci polityki ugodowej osłaniają swą klęskę. Ukute są one wszystkie według jednego szablonu, niekiedy zręcznie, niekiedy arcyniezgrabnie, a cel ich zawsze jeden i ten sam: Odwrócenie uwagi od jądra rzeczy, od zasadniczego błędu. — Przedstawiciele ugody znają dobrze psychologię tłumów i wiedzą jak ponętne są dla szerokiej publiczności opowiadania o zakulisowych sprężynach polityki, — więc po każdej klęsce rozpoczynają się szepty poufne na temat prywatnych pogadanek posłów z ministrami, domowych intryg w obrębie Koła polskiego itp. To intryguje, budzi w słuchaczach uczucie dumy z posiadania pewnych tajemnic wyższej dyplomacyi i, co za tem idzie, rozdrabnia uwagę a raczej przykuwa ją do sprężyn, nie posiadających żadnego lub tylko podrzędne znaczenie. Gdy np. z trybuny sejmowej padły słowa sympatyi dla związku H. K. T. i słowa te wstrząsnęły znowu wiarą społeczeństwa w politykę ugody, wtedy z Berlina szły wieści, że wszystkiemu winno... gadulstwo jednego z posłów.

Mówiono, że minister w sekrecie obiecał wystąpić przeciw Hakatystom, że jeden z polskich deputowanych pochwalił się tą obietnicą przed p. Tiede- czy też Hansemanem, że ten pobiegł do ministra, narobił hałasu i wytargował enuncyacyę sympatyczną dla zorganizowanych tępicieli polskiego żywiołu.... Plotka ta ma na czole wypisaną jaskrawą niedorzeczność, a mimo to ludzie wierzyli, że gdy polski poseł zagrał panu ministrowi, minister tańcował po polsku, a gdy mu zagrał niemiecki, tańczył po niemiecku. Ugodowcy osięgnęli swoje. Mnóstwo ludzi bowiem przestało w sensacyjnej mowie upatrywać klęskę polityki ugodowej, poważne objawienie groźnych intencyi rządu, a widziało w niej tylko skutek gadulstwa polskiego.

Obecnie oczywiście znów zaczynają kursować nowinki. Mówią nam, że mowa p. Bossego nie jest bynajmniej odbiciem rządowych przekonań, tylko osobistą zemstą ambitnego wierszokletý(?), któremu poseł Motty „niepotrzebnie“ (?) przypominał częstochowskie rymy, fabrykowane niegdyś „in des Lebens lyrischem Mai“. I dalej mówią jeszcze, że rząd polecił swojego czasu ministrowi Bossemu prowadzić targ polityczny z Kołem polskiem w sprawie projektu wojskowego, że handel ten podrażnił dumę butnego niemca, że od tego czasu dyszał pragnieniem od-

wetu i poniżenia tych, z którymi niegdyś o głosy targować się musiał — więc skorzystał z okazyi, by im pogardę swoją objawić. „Ale minister Bosse a rząd, — to zupełnie co innego!“

Takie głosy krążą po mieście i prowincyi, a nawet w prasie głośne już echo znalazły. My przedstawicielom ugody dobrej wiary nie odmawiamy, — przypuszczamy przeciwnie, że w dogmatyźmie swoim bądź to wierzą istotnie w motywy, rzucane szerokiej publiczności, bądź to snują legendy z samowiedzą ich fałszu, ale fałsz ten dyplomatyczny uważają za konieczny dla ratowania kredytu polityki swojej, której, zdaniem ich, prędzej czy później słońce musi zaświtać. W to słońce, jednak, społeczeństwo wierzyć nie powinno, — z germańskiego nieba tylko piorun jeden po drugim na nas spadać będzie, — dyplomacya ugodowa nic nam nie dała i nic dać nie może, — niemiłosierny bój przeciw żywiołowi polskiemu jest n i e u g i ę t ą z a s a d ą polityki pruskiej, — oto najgłębsze na historyi, doświadczeniach i logice oparte przekonanie nasze.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

W sprawie wystawy przemysłowej w Grudziądzu. Jeden z przemysłowców zachodnio-pruskich rzuca w „Gazecie Grudziądzkiej“ (Nr. 25) projekt następujący:

„Przed kilku dniami poruszyła „Gazeta Grudziądzka“ sprawę wystawy przemysłowej w Grudziądzu i ubolewała nad tem, iż z grona polskich przemysłowców nikt jeszcze w tej sprawie głosu nie zabrał. I my polscy przemysłowcy w Grudziądzu bardzo nad tem ubolewamy; ale na taktykę panów urządzających owa wystawę, nie ma już podobno innego lekarstwa, jak tylko trzymanie się od tej wystawy zdala!

Urządzającym wystawę widocznie na polskich wystawcach bardzo mało zależy, bo o jakichkolwiek ogłoszeniach w polskich gazetach, o zniesieniu się z polskiemi Towarzystwami przemysłowemi itp. dotychczas głucho i cicho.

Znając dokładnie tutejsze stosunki, jestem tego zdania, że w Grudziądzu — siedzibie „Geselligera“, gdzie bojkot przeciwko Polakom cichaczem na dobre już jak kret nurtuje, nie znajdziemy i co do wystawy uwzględnienia choćby nawet najskromniejszych naszych życzeń.

Jest między nami dużo zdolnych przemysłowców którzyby się i na grudziądzkiej wystawie ze swemi wyrobami pokazać mogli. Kiedy wszakże i tu, widocznie z dobrze wiadomych każdej mądrej głowie względów, nieprzychylny wiatr dla naszej sprawy wieje, zrobimy najlepiej, jeżeli sobie pozostaniemy w domu.

Przed dwudziestu laty mniej więcej mieliśmy wystawę polską w Toruniu, a ta się znakomicie udała. Możeby się zalecało w skutek ignorowania nas przy wszystkich takich okolicznościach i teraz pomyśleć o osobnej w y s t a w i e p o l s k i e j n a Z a c h o d n i e P r u s y.

Przemysł nasz zaczyna się na dobre powijaków pozbywać i podnosi się we wszystkich gałęziach, tak, że wystawa taka jest już dla tego konieczną, aby módz dwudziestoletni postęp na tem polu stwierdzić!

Cieszyłoby mnie bardzo, gdyby tych kilka słów pobudziło szersze koła naszych przemysłowców do wyjawienia publicznie swego zdania o tej sprawie“.

Do słów powyższych załączyła redakcya „Gazety Grudziądzkiej“ następujące uwagi:

„Na projekt urządzenia wyłącznie polskiej wystawy godzimy się a nawet gorąco mu przyklaskujemy.

Wobec ciągłej troski o byt, rzetelnej pracy na polu przemysłu i walki w obronie naszej egzystencyi narodowej, powinniśmy byli nabrać tyle zdolności i wprawy, tyle samodzielności i energii, aby módz pomyśleć o urzeczywistnieniu podobnej myśli — o własnych siłach, na własną rękę.

Ze względu zaś na uprawianą wobec nas ze strony niemieckiej metodę pomijania nas i odpychania na każdym kroku społecznego życia oraz nieuszanowanie naszego języka i odrębności narodowej, jest to nawet koniecznem, abyśmy sami zobaczyli, co umiemy, czego nam niedostaje, w czem się zmienić, co ulepszyć należy itd.

Na nowo więc prosimy naszych przemysłowców i wogóle znających się na rzeczy rodaków ze wszystkich stron naszej prowincyi, aby na dobre pomyśleli o tej sprawie i wnet wypowiedzieli swe zdanie, myśli, rady i projekta, w którym to celu otwieramy chętnie łamy naszego pisma“.

* * *

Ruch radykalny w Galicyi. W wiedeńskim „Przełomie“ znajdujemy następujące szczegóły o rozwoju idei socyalistycznej na gruncie galicyjskim:

„Trzema szlakami posuwa się ruch radykalny w Galicyi. Od Zachodu idą doktryny socyalistyczne, od Wschodu radykalna Kozaczyzna, a z wnętrza kraju dobywa się radykalizm żydowskich Syonistów.

Ruch socyalistyczny w Polsce rozbudził się w ostatnich dwudziestu latach. Rozniosła go po Galicyi zwłaszcza, — po aresztowaniach warszawskich w sierpniu 1878 roku, — emigracya przewódców tego ruchu do Lwowa, Krakowa i Poznania.

Procesy socyalistyczne w Krakowie w roku 1879, proces Mendelsohna i towarzyszy w Poznaniu roku 1882, we Lwowie r. 1884, były wielką reklamą dla nowej partyi. Młodzież, w której ówczesny system polityczny zabijał, a przynajmniej przytłumiał ducha narodowego, młodzież goretsza, szlachetniejsza, potrzebująca żyć nietylko chlebem, ale i wyższemi ideałami, rzuciła się całą duszą do tej oszałamiającej fantazyę propagandy.

W r. 1890 założono we Lwowie obok istniejącego od kilku lat dwutygodnika, wydawanego przez drukarza Daniluka „Praca“, pierwszy organ partyjny „Robotnika“ pod redakcyą niezmordowanego w agitacyi Mańkowskiego, w r. 1892 przybył drugi dwutygodnik „Siła“, w r. 1894 Daniluk spróbował wydawać w ostrzejszym tonie „Młot“, nadto powstały dwa nowe pisma we Lwowie: „Nowy Robotnik“, co 10 dni w nakładzie 1300 egzemplarzy, popularno-naukowy miesięcznik w 500 egzemplarzach „Światło“ a w Krakowie pod redakcyą znanego komiwojażera socyalistycznego I. Daszyńskiego tygodnik partyjny „Naprzód“ w nakładzie 1900 egzemplarzy.

Za granicą reprezentantem socyalistów działających na polskie prowincye jest w języku polskim wydawany miesięcznik „Przedświt“ w 1000 egzemplarzach w Londynie i tygodnik „Gazeta robotnicza“ w 1300 egzemplarzach w Berlinie, a nadto od czerwca 1895 r. wydaje Związek zagranicznych socyalistów polskich celem zawiadamiania socyalistów innych narodowości o ruchu socyalistycznym w Polsce „Bulletin officiel du Parti socialiste polonais“ pod redakcyą Al. Dębskiego w Londynie.

K. ROJAN.

W ŚWIAT.

(Ciąg dalszy.)

Smolarz przypomina sobie teraz, że w ostatniej chwili przed wejściem na scenę, zapodział gdzieś przygotowany do oddania list, zgubił go, lub też wetknął w kieszeń surduta. Ogląda się więc niepewnie ku Łasieckiemu a równocześnie szuka po kieszeniach granatowej liberyi. Nie znalazłszy listu tam, poczyna grzebać po kieszeniach od kamizelki.

Wywięzuje się z tego powodu zabawna chwila wyczekiwania, ze stroy męża jak i publiczności. Smolarz jest wściekły.

— Musiałem go zapomnieć w przedpokoju — powiada i cofa się za kulisy. Po drodze zaczepia długiemi połami rozpiętego surduta o fotelik i przewraca go z łomotem. Na twarzy jego maluje się głębokie zniechęcenie i rozpacz.

Przez okienko w kulisach przygląda się Lola i Dyniecki tej tragi-komicznej scenie.

Dyniecki uśmiecha się złośliwie i szepce jej do ucha:

— Ach, jakiż on zgrabny, ten narzeczony pani. Złote serce, to prawda, ale zresztą trywialny jak młot i kowadło.

Twarz Loli pokrywa się rumieńcem. Wstydzi się ona za biednego Franciszka i zła jest na niego. Cóż wart człowiek szlachetny i prawy, skoro przez swoje niedołęstwo staje się pośmiewiskiem?

Odnalazł wreszcie Smolarz, przy pomocy Łasieckiego zgubiony list, zaniósł go na scenę, cisnął na stół przed męża i bąknął: „Oto jest“.

Mąż rozdziera kopertę i rozpoczyna czytanie:

„O, do dyabła — woła — a to co tatakiego? List anonimowy.... Hm (czyta głośno:) „Ostrzegam pana przed wielkiem nieszczęściem. Żona pańska, dowiedziawszy się, że masz iść dziś wieczór na uroczystość jubileuszową, właściwie na maskaradę, naznaczyła jednemu ze znajomych pańskich *rendez-vous* w domu. Przyjdzie on niechybnie między dziesiątą a jedenastą wieczorem. Bądź pan o tym czasie w domu, a przekonasz się o prawdziwości niniejszego listu“. A to okropne — woła mąż — żona mię zdradza!... zdradza mnie, którego cały świat uważa za ideał męża (uśmiecha się po krótkim namyśle). No, nie bardzo, a mała Wicia?... Ale cóż z tego, co wolno mężczyźnie, to nie wolno kobiecie. (z gniewem) A, moja pani, nie spodziewałem się nigdy po tobie tyle przewrotności. To mi się zaczyna bardzo niepodobać. (zastanawia się) Ale wiem co zrobię. Niech Wicię dyabli porwą i maskaradę i taroka; zostaję w domu i chwytam ich na gorącym uczynku. (woła) Janie!

J a n: „Do usług, proszę łaski pana“.

M ą ż: „Aha, jesteś tu. Słuchaj Janie, ty jesteś rozsądnym chłopcem, co?“

J a n: „Tak, troszkę, proszę łaski pana“.

Dyniecki nachyla się ku Loli i szepce jej do ucha:

— Jak na lokaja jest wystarczająco rozsądnym.

Lola uśmiecha się posępnie.

M ą ż: „Otóż mój Janie, pójdziesz do pani i powiesz jej, że właśnie wyszedłem z domu. Rozumiesz?“

J a n: „Rozumiem“. (chce odejść).

M ą ż: „Czekaj, jeszcze nie koniec. Ja jednak nie wychodzę nigdzie, tylko idę do niebieskiego pokoju i będę ztamtąd, przez to (wskazuje ręką na ścianę) okienko śledził, co się tu dziać będzie w salonie. Ty zaś, mój Janie, masz mi stać na czatach i nie wpuszczać nikogo do niebieskiego pokoju. Rozumiesz?“

J a n: „Rozumiem“.

M ą ż: „Teraz możesz iść już do pani“.

Smolarz wychodzi prawemi drzwiami, staje przed Lolą i Dynieckim, patrzy im przez chwilę chmurnie w oczy, odwraca się i wchodzi znowu na scenę.

— On nas podejrzywa — szepce Lola bojaźliwie.

— Wątpię — odpowiada Dyniecki —

Na scenie mąż monologuje dalej:

Dla szerzenia jawnej agitacyi socyalistycznej założono w roku 1891 stowarzyszenia publiczne pod wspólną nazwą „Siła“ we Lwowie, w Krakowie i w miastach na prowincyi. stowarzyszenia, które już dziś siecią objęły wszystkich robotników fabrycznych i warsztatowych w Galicyi.

Organizacya socyalistyczna, licząc się z poważną cyfrą robotników izraelickich, założyła dla nich pismo wydawane w żargonie żydowskim p. t. „Der Arbeiter“ i utworzyła dwa towarzystwa: „Brüderlichkeit“ i „Zad Hachsun“. Obok tego odbywają się doroczne kongresy prowincyonalne; ostatni w r. 1895 odbył się w Nowym Sączu.

W ścisłym związku z ruchem socyalistycznym prowadzonym przez socyalistów polskich, idzie ruch radykalny ruski. Ruch radykalny między włościaństwem ruskiem daje się ściśle odgraniczyć. Obejmuje on głównie powiaty południowe, kołomyjski i śniatyński. kiełkuje w powiecie żółkiewskim i przemyskim. Jest on prowadzony przez kilka jednostek i rozwija się tam, gdzie te jednostki agitują.

Jest wzajemne odnoszenie się socyalistów polskich do ruchu radykalnego ruskiego i radykałów ruskich wiąże wspólna myśl przewodnia z socyalistami polskimi.

„Nasze cele — wołał agitator socyalistyczny Daszyński na zebraniu krakowskiej grupy radykałów ruskich — i cele Dragomanowa są jedne i te same, chociaż drogi, po których stąpamy, są odmienne. My przygotowujemy grunt, na którym dopiero marzenia Dragomanowa będą się mogły stać aktualnemi i na czasie. Bez socyalizmu ideały Dragomanowa osięgnąć się nie dadzą, i dla tego młodzież ruska, przyznająca się obecnie do tych ideałów, przejść powinna po prostu w socyalistyczne szeregi“. (Perszi pominki M. P. Dragomanowa. Wydał uczeń jego M. Pawlik. Lwów 1895, str. 8).

Za to radykały ruskie odwdzięczają się udziałem na zjazdach socyalistycznych: Dr. Trylowski bierze bardzo żywy udział w trzecim lwowskim zjeździe polskich socyalistów. P. Budzynowski przedkłada na odbytym we wrześniu r. z. czwartym zjeździe polskich socyalistów w Nowym Sączu agrarny swój program, żywcem wykrojony z broszury jego: „Chłopska posiadłość w Galicyi“. Na tenże zjazd przybywa wybrany w Przemyskiem poseł Nowakowski i przemawia to po rusku, to po polsku wśród entuzyastycznych oklasków zgromadzonych“.

* * *

Bezskuteczność germanizacyi. W „Kraju“ petersburskim czytamy:

„Historya świadczy, że te tylko narody z oblicza ziemi zniknęły, które zostały wyrznięte, wywieszane, wystrzelane. Po za tem innego środka, prowadzącego do tego celu, dzieje nie wskazują. Bodaj jednak, czy środek ten w danym wypadku do trzech milionów ludzi da się zastosować. Czechów i irlandczyków nie zdołały wytępić wiekowe prześladowania, dokonywane wszystkiemi narzędziami, wszystkiemi sposobami, jakie tylko zwycięzkie państwo i nieprzyjacielski naród wymyślić są w stanie. Nie zginęły resztki plemienia celtyckiego na skałach nadmorskich Bretonii i Walii, pomimo, że przez wieki oblewane są i zalewane przez fale francuzczyzny i angielszczyzny. A więc ani ucisk, świadomie dążący do wynarodowienia, ani normalny bieg rzeczy, wpływy naturalne, nie są w stanie zgładzić narodu. Zapewne działają tu przyczyny też same, dla których najpotężniejsze państwo, z wielką armią, z bogatym skarbem, z wyborną administracyą, z ks. Bismarkiem na czele, jednego atomu jakiegoś pierwiastku ani zniszczyć, ani przetworzyć nie mogą.

Ale prowincyę zdobytą można pozyskać dla państwa, jej interesy narodowe zsolidaryzować lub przynajmniej pogodzić z widokami, z potrzebami monarchii. Wypadki podobne są w dziejach zjawiskiem dosyć pospolitem, ale nigdy nie następują i nastąpić nie mogą, gdzie działa ucisk, gdzie grasują prawa wyjątkowe. To zrozumieć łatwo i łatwo też stwierdzić przykładami historyi. Ucisk jest w stanie wytwarzać jedynie nienawiści, fanatyzmy, — nigdy nie obudzi sympatyi, ani zaufania.

Francuzi w Afryce powstrzymują się od święcenia pamiętnych wypadków narodowych, aby dzikim narodom nie sprawić przykrości; niemcy lubują się w torturowaniu uczuć swoich inoplemiennych współobywateli. Francuzi pozyskali Alzacyę w r. 1648, Lotaryngię dopiero w r. 1766. Obie te prowincye już za wojen rewolucyi i napoleońskich pod względem zsolidaryzowania się z dążeniami i ideałami Francyi, nie ustępowały w niczem Szampanii ani Pikardii. Kiedy najazd niemiecki oddzierał w r. 1871 Alzacyę od Francyi, i Alzacya i Francya czuły ból wielki i do dziś go czują.

Szlązk należy do państwa niemieckiego już 500 lat, Prusom dostał się przed 140 laty—czy cesarstwo Hohenzolernów ma jakieś złudzenie co do uczuć ludu szlązkiego? Czy może liczyć na łzę jedną, gdyby wypadki uwolniły Szlązk z pod panowania Niemiec? Kaszuby dostały się Prusom mało co później, niż Lotaryngia Francyi, a czy tam jest zalążek chociaż tych uczuć, jakie sto lat temu okazała Lotaryngia? Zkądby się tu uczucia takie wziąć mogły? Kijem, kagańcem, więzieniem ich się nie stwarza.

We Francyi nikt nigdy nie pomyślał nawet, aby Alzacyi, mówiącej po niemiecku, narzucać język francuzki, aby ludzi z pod praw wyjmować za pochodzenie, aby uczucia szlachetne, jak zbrodnię karać. Francya pracowała, aby Alzacyi dobrze było pod jej panowaniem i celu dopięła—serca ludu zyskała.

Kto winien jak nie sami niemcy, że coś podobnego nie stało się w dawnych ziemiach polskich? A dzisiaj brak w polakach poczucia solidarności z państwem gniewa ich, mają to za zbrodnię! Chcąc jakiegoś nadnaturalnego i nienaturalnego zjawiska. Państwo mądre dwa razy obcy naród podbijać musi; drugi podbój, moralny, trudniejszy jest, dokonywa go sprawiedliwość i opieka nad tem wszystkiem, co podbijanemu narodowi drogie. Naród żaden głowy sam pod topór nie położy, a za urąganie, za poniewierkę miłować nie zacznie. Nie intryga polska, nie szlachta, nie duchowieństwo — jak twierdzi ks. Bismark winni, iż państwo ma na krańcach wschodnich opozycyę, winne są pożądania germanizacyjne samych niemców. Nic, tylko to.

* * *

W innym artykule „Kraju“, dotyczącym komisyi kolonizacyjnej, czytamy:

„Inicyatorowie kolonizacyi przyznawali się zupełnie otwarcie, że celem jej jest germanizacya. Cóż w tym kierunku osiągnięto?

Według ostatniego sprawozdania, przez 10 lat komisya kolonizacyjna osadziła na rozparcelowanych gruntach 1,784 kolonistów. Jeżeli chodzi o wpływ na germanizacyę dwóch prowincyi. to należy przedewszystkiem z tej liczby strącić kolonistów, pochodzących z Poznańskiego i Prus Zachodnich w ogólnej liczbie 710. Z pozostałych 1,074 jeszcze pochodzi 227 z Prus Wschodnich i 131 ze Szlązka, czyli dalszych 358 z okolic, w których mieszka ludność polska obok niemieckiej. a w miarę ustępowania jednej, wzmaga się druga. Na kolonistów, pochodzących z okolic wyłącznie niemieckich, pozostaje 716 kolonistów. Czyż na sprowadzenie takiej liczby warto poświęcać olbrzymie sumy, ponosić milionowe straty i bezustannie wywoływać rozdraźnienie wśród ludności rdzennej, której komisya odmawia sprzedaży gruntów?

Nie tracimy nadziei, że kiedyś sami inicyatorowie właściwą na to pytanie znajdą odpowiedź“.

„I wierz tu dzisiaj kobiecie. Moja poczciwa Henryka, ten anioł wierności, zdradza mię ohydnie!... To okropne. Ale ja się zemszczę. O tak, zemszczę się strasznie.

J a n: (powróciwszy na scenę) „Już powiedziałem proszę pana“.

M ą ż: „A pani co na to?“

J a n: „Nic, proszę łaski pana. Podeszła tylko do okna i chusteczką ścierać poczęła pot z szyby“.

M ą ż: (na stronie) „Aha, już wiem, to był znak. (głośno) Chodź zemną do pokoju niebieskiego, będziesz tam strzegł wejścia“. (Odchodzą obaj).

Łasiecki klaszcze w dłonie.

— Panno Anno, proszę na scenę.

Anusia wychodzi.

S ł u ż ą c a: „Kazała mi pani czekać w przedpokoju i dać znać, gdyby kto nadszedł. Tymczasem nikt nie nadchodzi. Ach, jakież tu nudy u tych państwa. Żadnych zabaw, wieczorków, gości. Doprawdy, że nie wytrzymam dłużej“.

— Na scenę wchodzi Letourneaux.

L e t o u r n e a u x: (na stronie). „Ech, jakiś ładny buziaczek (głośno). Jak się nazywasz piękna dzieweczko?“

— S ł u ż ą c a: (dygając) „Nazywam się Melania, do usług“.

L e t o u r n e a u x: „Ślicznie się nazywasz moja gołąbko. Powiedz mi zatem, moja kochana, czy państwo są w domu?

S ł u ż ą c a: „Pani jest, ale pana niema“.

L e t o u r n e a u x: „O, jakże mi przykro. Właśnie chciałem widzieć się z panem. Lecz ostatecznie, kiedy go nie ma, moja piękna dzieweczko, pozwolisz, że cię pocałuję“. (chwyta ją i całuje).

— S ł u ż ą c a: „Ach!“

Anusia zakrywa twarz i czyni uwagę na stronie, której komedyopisarz pan Labrique nie umieścił w swym rękopiśmie, i która nie doszła do uszu publiczności:

— Ależ on mnie naprawdę pocałował; nie tak, jak na próbach bywało,

L e t o u r n e a u x: „Idźże zatem, moja ty piękna, i powiedz pani, że pewien dobry znajomy przyszedł z wizytą i pyta, czy go pani przyjmie. Oto moja karta“.

S ł u ż ą c a: „Zaraz panu powiem“. (bierze kartę wizytową, dyga i odchodzi).

Łasiecki do Józefa za sceną:

— Józef, a no, smaruj na drabinę, musisz zaraz p....podsłuchiwać.

Józef włazi na drabinkę przy ścianie i wsadza głowę na scenę przez wąski otwór, przedstawiający okienko wentylacyjne.

M ą ż: (przez okienko) „Acha, tyś to mój paniczu!“

Publiczność spogląda z ogromnem zainteresowaniem na głowę męża w okienku i cieszy się, przewidując wielką intrygę.

L e t o u r n e a u x: (wydobywa list z kieszeni) „Doprawdy, jeszcze nie mogę ochłonąć z głębokiego wrażenia, jakie zrobił na mnie ten list, dziś rano otrzymany. Co on właściwie ma oznaczać? (czyta) „Kochany kuzynku! Wiem, że bawisz chwilowo w naszem mieście. Cieszę się tem niewymownie i zasyłam do ciebie gorącą prośbę. Przyjdź, kochany kuzynku, około 9-tej wieczorem i spełń to koniecznie, o co cię poniżej proszę. Udawaj, że jesteś we mnie na zabój zakochany; praw mi różne grzeczności, oświadczenia i składaj przysięgi. Chodzi tu o ukaranie mego męża. Nie obawiaj się żadnych złych następstw. Jeszcze tego samego wieczora wyjaśni się wszystko. W rozmowie jednak nie wspominaj nic o niniejszym bileciku. Do miłego widzenia. Henryka“. — (mówi) Nie rozumiem. Ale w końcu, co mię to obchodzi. Przed wyjściem Henryki za mąż. kochałem się w niej studencką miłością; dla czegoż więc dzisiaj, po latach kilku rozstania, nie miałbym przypomnieć sobie tych chwil wesołych. A może i Henryka na wieść o mojem przybyciu przypomniała sobie dawne czasy i zakochanego studenta.... Może znudziwszy się mężem, zapragnęła dla odmiany jakiejś rozrywki, naprzykład romansiku z kuzynkiem. Być może. A byłoby to wyśmienite, słowo daję.

Łasiecki za sceną:

— Pst, panno Lolu, na panią kolej.

Ż o n a: (wchodzi na scenę) „A!... kochany kuzynek Maryan — (woła z radością) jak się cieszę, żeś przyszedł (podaje mu rękę). Proszę, usiądź pan“. (Letourneaux siada).

M ą ż: (z drabinki na stronie) „Jak oni dziwnie patrzą na siebie“.

Smolarz do siebie po cichu za sceną

LITERATURA I SZTUKA.

Z po za Oceanu.

Piszę ja list ten, Rodziciele moi,
Z bijącem sercem, z mokremi oczyma.
A między nami morze wielkie stoi,
Nie daje do was i siłą mnie trzyma,
I srogie góry są, i puszcze straszą,
Między mną tutaj, a tam chatą waszą.

Więc tylko oczy podnoszę nad szczyty,
Rano i wieczór patrzący w tę stronę,
Gdzie jest nasz zagon, kłosami nakryty,
Gdzie łąki nasze, po rosie koszone,
I chciałbym ptakiem przelecieć tę drogę,
I wiatrem chciałbym przez nią, a nie mogę!

W oczach mi tylko tak stoi, jak żywa,
Bielona chata, snopami poszyta,
I kalenica wysoka, a krzywa,
I dusza o niej zamyśla i pyta,
Ale mi wieści nikt żadnej nie poda,
Taki świat ziemi jest, i taka woda!

Więc sobie rady nie wiem od tęsknoty,
A od żałości o kęs, że nie ginę...
I widzę prawie te chruściane płoty,
I jak tam żóraw idzie w cembrowinę,
Przez góry czuję i przez wielkie morze,
Jak mięta pachnie tam i drzewko hoże.

A jak z odpustu obrazik kto bierze,
I patrzy w niego, i nosi na szyi,
Tak ja w tę chatę, mówiący pacierze,
Patrzę, by w obraz Panienki Maryi,
Za świętość sobie mając owe ściany
I próg i białe na gnieździe bociany...

Chorość mnie ciężka zwaliła, jak brzemię,
Iż dobrej w sobie za grosz nie mam siły.
I prędko pewno iść przyjdzie mi w ziemię,
Bez czterech desek, bez własnej mogiły,
Bowiem czerń ludu ginie z tej choroby,
Których w dół wloką pospólny, nie w groby.

Tak z onych bogactw, z onych majętności,
Co mnie skusiły tu, w te cudze kraje,
Dla moich w ogniu trzęsących się kości
Trzech łokci piasku siwego nie staje,
Co u nas żebrak ma... I nie porośnie
Brzózka nadetną liściami o wiośnie.

Więcbym tu pisał dzień cały te żale,
I śmierć tę czarną, co na mnie już kracze,
I tę gorącość serca do was, ale
Szkoda mi oto mateńki, że płacze,
Łzami sypiąca na papier ten biały,
Co go jej morza dalekie podały.

Bogdajżeś pierwej stradała mnie płodem,
Niźli ja tutaj na dolę tę padłem.
Bom i chorobą ściśniony i głodem,
I jak wilk węszę po ziemi za jadłem,
Jak ptak bez gniazda, skrzydłami tu biję,
I w nocy zrywam się, i jak pies wyję!

Prosiłbym ja was, byście mi za morze
Odkazowali, jaka była zima,
Czy też miał ciepło dobytek w oborze,
I czy już wiosną pachnie, czy mróz trzyma?
Ale, że we mnie dusza nie doczeka,
Niż pismo przyjdzie z takiego daleka,

Więc was już żegnam i kłaniam się pięknie,
Ojcze i matko do samych wam kolan,
A jak tam nocą w kominie wiatr jęknie,
I z niedogasłych skry rzucą się polan,
Albo zawierkiem cicho co zarusza,
To będę, matko, ja i moja dusza.

A teraz żegnam życzliwe sąsiady,
I całą naszą chudobę i pole,
Miedze i łąki, wygony i sady
I żytnie brogi i zasiek w stodole,
I kosę moją żegnam już, i wrota,
Com tu jest tułacz bez nich, i sierota!

Leciałbym do was, jak ten gołąb siwy,
Albo jak słomka, ciągnąca o wschodzie,
Bo mi się widzi, że znów byłbym żywy
Po naszym chlebie i po naszej wodzie,
Bo w studni na dnie miesiączek tam leży,
A krzyżem świętym znaczony chleb w dzieży.

A widzi mi się, bym znów na uwrocie
Za pługiem stanął, a huknął na woły,
A pojrzał w pole, płoniące się w złocie,
Tobym wnet wzmocniał i byłbym wesoły.
Ale, że teraz struchlałe mam kości
Od wielkich ogniów słońca i tęskności.

Tu ziemia nie ta, i nie czuje człeka,
Jak łan rodzony, co się z nim rozumie,
Chata od chaty bezdrożem ucieka,
A dusza głuchnie w okrutnych puszcz szumie,
I niebo się tu przegradza od ziemi
Stogami głazów niezwyciężonemi.

Więc trudne rzeczy są i podaremne,
Bym się ztąd dostać przemógł za żywota.
Ale jak umrę, to przez bory ciemne,
Przez morze pójdę wprost, gdzie nasze wrota,
I trafię, dojdę pod chaty okienko,
Tak mi dopomóż Bóg i święta męko!

A teraz dajcie bić za mnie we dzwony,
Od wschodu słońca do zachodu słońca,
I niechaj będzie Chrystus pochwalony!
Ostajcież z Bogiem, moja kochająca
Mateńko droga, i Tatuńciu miły...
Kłaniam się do was od mojej mogiły!

Marya Konopnicka.

Pesymiści-melancholicy.

(*E. Orzeszkowa. Melancholicy, nowele. — Warszawa 1895, 2 tomy*).

(Ciąg dalszy).

Wobec tego objawu otwiera się szerokie pole dla etycznej obywatelskiej działalności literatury pięknej. Pesymizm ma w niej prawo bytu, ale z małym wyjątkiem wszelkie prawa nieograniczone zamieniają się w swawolę. Jak samobójstwo ciała spotyka się wszędzie, a więc w i literaturze, z potępieniem, tak i samobójstwo ducha o tyle gorsze, że roznoszące truciznę, nie powinno być otaczane względami i opieką. Wszakże nikt z pisarzy kreślących obrazy zbrodni, pijaństwa, wiarołomstwa, nie woła: morduj, zdradzaj, upijaj się! — żaden więc nie powinien wołać: trać wiarę w siebie i ludzkość i z innych tę wiarę wypruwaj. Literatury zadaniem jest leczyć choroby społeczne, ale nie sprowadzać je. A jeżeli przeciwnicy utylitaryzmu sztuki, zrzekając się dobrowolnie szlachetnego apostolstwa

— Oj, prawdę mówisz, oni dziwnie patrzą na siebie.... bardzo dziwnie.

Letourneaux: „Pani, myśl o tem, że dzisiaj cię ujrzę, napawała mię przez dzień cały nieopisaną radością“.

Mąż: (z okienka, na stronie) „Bodajbyś kark skręcił“.

Audytoryum cieszy się.

Żona: „Och, ja również myślałam o tobie kuzynku przez cały dzień....

Mąż: (z okienka) „Poczekaj, dam ja ci przez dzień cały o nim myśleć!“

Publiczność huczy. Klepka aż tupie nogami z radości.

Letourneaux: „I gdy tak, droga kuzynko, obraz twój wypełniał duszę moją, przyszły mi na myśl wszystkie owe chwile, kiedy to dziećmi jeszcze będąc, czuliśmy jakiś nieokreślony pociąg ku sobie“.

Mąż: (trzęsąc głową i całym papierowym pokojem) „No, proszę, pociąg!... może jeszcze pospieszny! Zabiję ja cię zbrodniarzu za ten pociąg!“

Audytoryum zachodzi się od śmiechu.

Żona: „Widzisz kuzynku, to dziwne, bo dziś właśnie i mnie przyszły na myśl nasze dziecinne uczucia, takie błogie, takie rozkoszne, a tak już od nas oddalone“.

Letourneaux: „Pamiętasz kuzynko owe wakacye, kiedy to przyjechałem do twoich rodziców na wypoczynek. Byłem wówczas dumny i myślałem, że cały świat do mnie należy. Chciałem wówczas wydać ci się wielkim i zacząłem przytaczać łacińskie zdania, greckie aforyzmy. Lecz ty śmiałaś się tylko i obrzucałaś mnie łupinami z orzechów“.

Żona: „Ach, jakież to były przyjemne czasy“.

Letourneaux: „A potem, pamiętasz kuzynko ten moment, kiedy to przypadek, dziwny zbieg okoliczności nas rozdzielił“.

Łasiecki, który przez cały ciąg przedstawienia patrzył w rękopism i kiwał głową na znak, że słowa cytowane przez artystę-amatora zgodne są z tekstem pana Labrique, w tem miejscu rusza niespokojnie ramionami i woła:

— Pst, pst, co on mówi?

Ale Letourneaux nie ogląda się na psykanie suflera, tylko improwizuje z zapałem dalej:

„Ach, jak ja wówczas cierpiałem, tego pani nigdy nie pojmie“.

Łasiecki opuszcza z rozpaczą ręce i woła coraz to głośniej:

— Pst, pst! ależ tego nie ma w roli. Otóż patrzajcie.... popsuje mi zupełnie przedstawienie. Tego przecież nie ma w roli!

Smolarz bierze go za rękę i powiada z cicha:

— Daj pokój, niech mówi, już to jest w jego roli. A ja muszę wiedzieć, co w jego roli jest.

Letourneaux: (z zapałem) „Podobnych mąk ludzkiem słowem opisać niepodobna. Kochałem cię całą duszą, całą głębią pierwszej, czystej miłości — a ty? o Henryko, tyś przez kaprys chwilowy, niepojęty, potworny, wzgardziłaś mną i uczyniłaś nieszczęśliwym na zawsze!... A ja, ja biedny odszedłem z rozdartem sercem, nie wymówiwszy jednego słowa na me usprawiedliwienie“.

Lola nie może również pojąć, co się tu dzieje; podobnej tyrady nie słyszała nigdy przedtem na próbach. Czuje jednak, że Dyniecki przeplata komedyę rzeczywistością i w usta kuzynka wkłada własne myśli. Mięsza się do reszty, wstaje i szepce:

— Panie Dy.... panie Maryanie, co pan mówisz?

Publiczność jednak, nie domyślając się zmiany tekstu, bierze każde słowo Dynieckiego za dobrą monetę i porwana jego zapałem i szczerością, zachwyca się grą pana Letournaeaux.

Ten zaś improwizuje dalej:

„Tak pani. Dawne to już czasy, chociaż tak bliskie w spomnieniach. Gdy jednak dziś ujrzałem cię znowu kuzynko, wydało mi się, że wszystko to działo się wczoraj. I dziś znówu czuję, że cię kocham jak wówczas i dziś powtarzam tobie z nieopisaną radością: Henryko, ty musisz być moją, moją na wieki!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

mówią: my nie jesteśmy od leczenia, tylko od dyagnozy — to i na to jest odpowiedź gotowa: opisujcie więc, zaznaczajcie chorobę, nie leczcie jej kiedy leczyć nie chcecie, lub nie umiecie, ale jej nie roznoście. Tymczasem literatura pesymistyczna to nie lekarstwo, nie dyagnoza, lecz propaganda niewiary, mizantropii, samolubstwa, co powiększa społeczne niebezpieczeństwo doktryny. Wobec smutnych stosunków społecznych i objawów, będących ich rezultatami, nie odgrywa ona roli obrońcy dobra, lecz rolę pomocnika kata. Boleje ona niby i płacze nad skazanym, ma pełne usta nienawiści dla wydających w imieniu zła wyroki, ale zawiązuje skazanemu ręce i oczy i prowadzi go na szafot, aby przypatrzeć się interesującemu widowisku. Zamiast wołać: pomocy! sprawiedliwości! światła! ona z uśmiechem przeżytego histryona mówi: kładźcie głowy pod topór, tak być musi, kochani moi uczniowie! Plantatorzy tej literatury uważają tylko na artystyczne przeprowadzenie tragedyi, aby mile łechtała zmysły estetyczne ich zwolenników. Dla nich wszystko jest sztuką dla sztuki, zło dla nich święci tryumfy, aby mogli w piękne formy przybrać nieszczęścia, aby harmonijnemi dźwiękami słów i wyszukanym rymem wyrywali z serc ludzkich ostatki nadziei.

Taka propaganda pesymizmu musiała wywołać reakcyę. W szeregi walczących przeciw niemu wstąpiła i Orzeszkowa. Nie napisała rozprawy, bo rozprawy mało kto czyta, bo miała zresztą broń silniejszą, wypróbowaną. Nowele, to najpoczytniejsza dziś forma literatury, — niech więc nowele idą w świat walczyć za prawo ludzkości do życia, za skarby serc i myśli, kryjące się wprawdzie często w ciemnych pieczarach, ale wydobywany przez tych co ich szukać umieją. Dla głębszych umysłów jednak lekka, powiewna, szkicowa forma noweli wystarczyć nie może, — więc choć nowelami nazwała Orzeszkowa szereg swych mniejszych utworów, powiązanych mocniej lub słabiej nicią wspólnej tendencyi, są one przeważnie studyami psychologicznemi. Dała im tytuł *„Melancholicy“* chrzcząc tem mianem (jeżeli się nie mylę) wszystkich zrozpaczonych, wątpiących, bolejących, którzy zatrzymują się nad przepaścią pesymizmu, dostrzegłszy błysk nadziei, odnalazłszy w sobie niezgasłą iskrę zapału, lub dojrzawszy możność i konieczność istnienia na ziemi serdecznego braterstwa. A może *melancholicy* to po prostu tylko inna nazwa pesymistów, jakby się tego z paru napomknień autorki domyślać należało. Tak czy owak tytuł nieco zagadkowy, nie zbyt odpowiadający treści i bohaterom nowel. Tak w potocznem jak i naukowem znaczeniu melancholia oznacza pewną chorobę duszy, objawiającą się stanem znieczulenia, apatyi, a często połączoną z manią prześladowczą. Jest ona wstępem do zupełnego rozstroju umysłu, a nie do nadania mu mocy i energii. Tymczasem bohaterowie *Melancholików* czują silnie, aż nadto umieją subtelnie analizować swoje uczucia, znajdują się jakby w przejściowym stanie do pomnażania swoich sił duchowych.

Z tytułem tym była po prostu taka historya: Orzeszkowa nie mając z góry powziętego planu, napisała w ostatnich kilku latach ośm utworów mniejszych różniących się formą opowiadania, w których jednak dostrzegła poźniej pewne między sobą powinowactwa. Pragnęła więc dać im nazwę uogólniającą, ażeby zaś jeszcze dobitniej uwydatnić wspólne ich źródło, napisała przedmowę, będącą wyznaniem jej wiary na punkcie pesymizmu. Ztąd zbiór tych nowel podobny jest do naszyjnika z monet różnej wartości i różnego kształtu, ale pochodzących z jednej mennicy i noszących z małym wyjątkiem jedne i tę samą dewizę: *sursum corda!*

„Smutkowi i boleści wyznaczając w ekonomice życia obszerne miejsce (mówi w przedmowie Orzeszkowa) — do spostrzegania ich szczególnie skłonna a moża i zdolna — bardzo daleką jestem od mniemania jakoby one tylko stanowiły jedyne i niezmienne przeznaczenie człowieka“. Rozwinięcie tej tezy przez autorkę streszczam wyłącznie jej własnemi słowami. Pesymizmowi nie dostaje zmysłu światła i dla tego jest on teoryą kaleką, szkodliwą przez to, że jest fałszywą. Pesymizm to robak w drzewie przegryzający energię, odbierający nadzieję, gaszący zapał. Optymizm, lubo także jest skrajnym kierunkiem, przynosi mniejsze szkody, bo nie usposabia człowieka do zamykania serca i zrzekania się czynu. Przyczyną pesymizmu jest: rozczarowanie. Osłabła w sercach wiara nasza, nauka nie zadowoliła umysłów, siła idzie przed braterstwem i prawem. Oprócz tych przyczyn są jeszcze inne niższego rzędu. Wobec wzrostu przemysłu i komunikacyi, wobec wynalazków i ulepszeń w sferze bytu fizycznego, wzrosły ogólne potrzeby, zrodził się legion żądz skomplikowanych. Powstanie wielkich miast podsyciły dwa instykty: naśladowniczy i przodowniczy. Ustrój społeczny zadawala tylko mniejszość, a większości przynosi zawody, głody chciwości i nienasycenia. Są pesymiści, których wygrana na loteryi, brzęk mamony, stanowisko lub okruszyna sławy, mogłyby pogodzić ze światem i życiem — ale są też poważni i szlachetni, którym się wydaje, że wszystkie dobra są zagrożone, albo zaginione. O pierwszych „organizacyach niższych“ mówić nie warto — drugim natomiast należy wytłomaczyć, że się mylą. Wprawdzie nic nas nie zdoła uwolnić od choroby, starości i śmierci, od nierówności cielesnych i duchowych, nic nie odegna od nas widm znikomości — ale obok tej prawdy istnieje jeszcze prawda druga. Starożytny mędrzec powiedział, że życie ludzkie jest kroplą miodu w beczce żółci, a kto tę kroplę wypije już nie ma prawa do pokazywania światu samej tylko goryczy, a kto powie jeszcze „fabrykujmy miód na szkodę żółci“, ten nie jest już pesymistą. Ale czy tylko kropla miodu istnieje w życiu? pyta Orzeszkowa i odpowiada przecząco. Czyż wolno zapominać o piękności natury, czarach sztuki, czyż nauka nie zaspakaja pragnień, nie pobudza energii, nie wskazuje celów? czyż nie ma takich, którym pracą przynosi — ukojenie,

St. Czałut.*)

WSPOMNIENIA
Z LEGII ZAGRANICZNEJ.

Trudno wystawić sobie większą radość i wesele od wesela nieszczęśliwego skazańca, który w przededniu swego stracenia, śmiałą ucieczką odzyskawszy wolność, nagle się widzi w posiadaniu samodzielności i swobody, tak iż czynić znów i działać może podług wolnej woli w miarę zdolności i zasad, byleby tylko prawo obyczajowe pozostało kanonem postępków jego. Taka radość nieokreślona i mnie opanowała, gdym po szczęśliwie przebytej ucieczce z *legii zagranicznej*, uczuł pod sobą po raz pierwszy wolny grunt szwajcarski i mógł sobie wreszcie powiedzieć: „jesteś w bezpieczeństwie“, — kiedy kuryer Parysko-Lyońsko-Genewski stanął przed dworcem w Genewie.

Lecz trzeba opowiedzieć przebieg sprawy od samego początku, chcąc szerszej publiczności dać przyczynek do poznania bliżej tej legii sławnej, która przed 30 laty jeszcze była tak chętnie poszukiwaną przez naszych rodaków, że Polacy najliczniej z wszystkich narodowości byli tam reprezentowani. A chociaż w najświeższych latach stósunek ten znacznie się zmienił, — choć obecnie np. niezaprzeczenie szczep germański największy do legii stawia kontygens, jednak ciągle jeszcze dość spora garstka polaków ślęczy w jej szeregach i nie ma tygodnia, żeby jeden lub dwóch z naszych ziomków nie znajdował się w liczbie dosyłanego regularnie z matczynego kraju rekruta. A dosyłki te uskuteczniają się co poniedziałek i czwartek — z Marsylii i z *Porte-Vendre*, przystani w ostatnim pogranicznym zakątku Francyi nad morzem Srodziemnem położonej, obejmując za każdą razą mniejwięcej około 100 chłopa. Pamiętnik mój służyć ma zarazem ku ostrzeżeniu owych młodych ludzi, którzy przy lada niefortunnem w życiu swem zajściu, kierując się bądź to wrodzoną krewkością, bądź informacyami fałszywemi, uważają wysługiwanie się w subtropikalnym Algeryi klimacie jako najłatwiejsze rozwiązanie trudnego położenia. Lecz wkrótce po wstępie następuje reakcya i opamiętanie się, a szeregowiec jakiejbądź narodowości, jeżeli stawionoby mu do woli opuścić legię lub przy niej pozostać, bezwarunkowo i prawie bez wyjątku uczyniłby pierwsze, — chyba, że przed powrotem do ojczyzny wstrzymuje go obawa przed karą za jakieś tam wykroczenia, które go nakłoniły do wstąpienia w pułki kolonialne.

Co do mnie, to sądziłem w ojczyźnie Juby, Masanisy, Jugurty, znaleść zagojenie ran, które mi zadały nieszczęśliwe stosunki familijne; nęciło mnie przy tem dalekie oddalenie, tradycya legii, duch awanturniczy, a wreszcie i niewyszumiana młodość, która w jakibądź sposób wyszumieć musi, by dojść do równowagi...

> „Marzyłem sobie, jak to marzą młodzi,
> Niesforną myślą o tej sławie marnej,
> Widziałem imię wyrwane z powodzi
> Czasów, przykute do gwiazdy polarnej.
> Był sen!“ . . . .

Podczas wystawy światowej w r. 1887 w Brukseli zawarłem znajomość z wysłużonym oficerem żuawów, którego opowiadaniom i gaskonadzie nakłonić się dałem do zaciągnięcia się pod sztandar francuzki. Przerywając studya uniwersyteckie w Prusach, mając również wojskowość w tym kraju po za sobą, puściłem się, nie mówiąc nikomu zgoła o mem postanowieniu, z Brukseli do Francyi. W Béthune, na pograniczu Belgii, istnieje tak jak po wszystkich pogranicznych miastach francuzkich, biuro rekrutowania do wojsk kolonialnych. Tymczasem lekarz wojskowy w Béthune uznał mnie za niezdatnego do służby w legii z powodu żył kurczowych. Zmartwiony tą odprawą do żywego, nie straciłem mimo to nadziei zupełnie i postanowiłem w pierwszem lepszem innem mieście jeszcze raz spróbować szczęścia. *„Quot capitta, tot sensus“*, to też w Lille, dokąd się udałem z Béthune, bez wszystkiego lekarz sztabowy mnie przyjął. Odesłany do Arrasu, oczekiwałem dalszych instrukcyi. Inkwaterowany w obszernych tamtejszych koszarach, w ubraniu jeszcze cywilnem, miałem po raz pier-

*) Za pseudonimem Czałut kryje się Poznańczyk, który przez pewien czas należał do żołnierzy legii zagranicznej w Afryce i dokonał nader śmiałej i trudnej ucieczki. Przyp. Red.

pełnienie cnoty, a nawet sam jej widok — szczęście. Czyż nie ma takich, co w poddaniu się obowiązkowi znajdują pociechy nieocenione, głębokie. Lecz, aby posiąść to źródło pociech i uciech trzeba zdolności do odrywania się od samego siebie, do serdecznego wielbienia i kochania. Miłość jest dla szczęścia pierwiastkiem pierwszorzędnym i niezbędnym; przez rodzinę, naród, ziemię, wszechświat, wstępuje ona w nadzmysłowe, prawie nadludzkie, a jednak tylko ludzkie strefy ideałów. Nie ma jej u dekadentów przeestetyzowanych, ani u modernistów lekceważących wszelkie piękności i dobra moralne, — to też wśród nich pesymizm krzewi się najbardziej. Ale choćby przewaga złego i boleści była dowiedzioną — to i cóż? To żeśmy ciemni i maluczcy, to, że wszystko, co nasze, wydaje nam się znikomem, nie dowodzi jeszcze nieistnienia absolutnej jasności, trwałości i doskonałości kędyś po za nami. Zadatki ich, pojęcia o nich, tęsknota za niemi, każą wierzyć, że dla czegoś istniejemy, że jeżeli cierpimy, to nie nadaremnie. Pewien pisarz porównał ludzi do robotników gobelin, wyszywających wzory ze złej strony, więc nie rozumiejących ich powikłań i nie widzących ich piękności; najrozsądniejsi i najlepsi nie rwą nici z niecierpliwości i gniewu, ale szczęśliwi już samą wiedzą, że współpracują w pięknem dziele, starają się o największą doskonałość ściegów....

Takie jest w streszczeniu wyznanie wiary Orzeszkowej. Są w niem ustępy piękne podniosłe, rozumne, szlachetne, ale ufność w potężne wpływy religii na chore umysły ludzkie zaledwie słabym migoce tam płomykiem. W czasach tolerancyi nie zawsze wprawdzie spełnianej, ale w zasadzie powszechnie uznawanej, nie wolno nikomu narzucać przekonań, a więc któż zabroni Orzeszkowej mieć własną filozofię? Ale też z drugiej strony nikt nie zabroni zaznaczyć, że w walce z pesymizmem k a ż d a r e l i g i a jest czynnikiem, niemającym równego sobie w sile i potędze.

Sama Orzeszkowa przyznaje, iż najszlachetniejsze umysły, które z przyczyn „wyższego rzędu“ dotknięte są zarazą pesymizmu, źródło swej choroby znajdują w tem, że „wiara religijna osłabła w ich sercach, — oddaleni od nieba i nieśmiertelności spostrzegają, że wiedza nie podaje młotu do rozbijania obręczy tajemnic, które ich ściskają....“

Okazem takiego pesymisty, czyli melancholika „wyższego rzędu“ jest bohater noweli „Z pomroku“. Przechadza się on po wybrzeżu rzeki i zatapia się w odmęcie swych myśli. Nie wie, po co przyszedł nad rzekę, po co odejdzie, bo zawsze mu towarzyszy zwątpienie o prawdzie, piękności, wartości wszystkiego. Jest to z początku sceptyk w każdym celu; dla niego człowiek najrozumniejszy na równi z ostatnim głupcem jest oszukiwany przez wszystko, co go otacza, i przez wszystko, co w samym sobie posiada. Nauka to same hieroglify — „jeśli chcesz zdobyć wszystkie o wszystkiem wiadomości i pewniki, pytaj się głupców“. Co za użytek z wiedzy: czy nakarmi głodnych, czy podźwignie ze śmiertelnego łoża genialnego człowieka. Kłamstwem jest, że istnieje sprawiedliwość. A cóż za korzyść z druku? „Z jednej strony wieszcze za pomocą tej stugębnej trąby kanalię ludzką do czerwoności rozpalają, z drugiej statyści przez nią także zimną wodę na głowy leją“. Ikar zamiast latać utonął, a Midas w złocie chadzał, choć miał długie uszy — po co więc gonić za ideałami? Tak dalej rozmyślając, bohater „Z pomroku“ nie wiele też rzeczy pochlebnych ma do powiedzenia o miłości i przyjaźni. Danem życia według niego jest właściwie tylko t r a f, „najzłośliwszy z figlarzy“, który jak piłką podrzuca człowiekiem. Ideę wiary zastosowywa ludzkość w praktyce przez wzajemne wytępianie się różnych wiar, — wogóle „tak idee jak cnoty dopóty niepokalanemi świetlanemi pozostają, póki w krąg działań ludzkich nie wejdą“. Prawda, że postęp istnieje, że dziś nam lepiej, ale dla czego ci, co byli przed nami, nosili ciężkie brzemiona „dla czego ze zgruchotanych kości i udręczonych duchów jednych pokoleń wypieka się chleb i wyciska wino dla następnych?“ Wreszcie zaczyna bohater analizować swe własne uczucia i spotyka w sobie najsprzeczniejsze myśli. Chciałby się dostać do Edenu, przypuszcza, że może jest jednem z niezliczonych narzędzi, przez które buduje się coś doskonałego, pała żądzą pracy, uczuwa skrzydła nadziei — poczem natychmiast odzywa się w nim znowu sceptyk w nic nie wierzący. A kiedy tak walczy ze swojemi myślami, słyszy wielki krzyk zgromadzonych na brzegu ludzi. Przewróciło się małe czołenko, złotowłose pacholę wpadło w kotłującą się, wzburzoną, rozgniewaną wodę. Z narażeniem własnego życia ratuje chłopca, czuje na rękach swych pocałunki, czyta w mnóstwie oczu błogosławieństwa. Odszedł pełen słodyczy i zadowolenia; czuł się lekkim, sprężystym, szczęśliwym. Ale znów bezwiednie zaczął analizować. Analiza ta jednak była już odmienną. Poczuł, że przez chwilę pozbył się swojego *ja*, że dla pożytku innych gotów był samego siebie utracić. Wydał się sam sobie większym i lepszym, bo rozumiał, że choć jest ułomnym, może spełniać cnoty, a „cnota to dopełnione prawo natury, która między jednostką a całym rodem ku wspólnej korzyści zadzierzgnęła nici sympatyi i współczucia“. A więc nić tę pragnie stale nawiązać: chcę żyć, pocieszać, wspomagać, ratować.... do pracy, do pracy“. Był on jednym z tych, dodaje od siebie Orzeszkowa, „których melancholia zamienić się może w szczęście przez pełny i swobodny rozwój energii, skierowanej ku czynom miłości“. Cały ten szkic psychologiczny jest nadzwyczaj artystycznie przeprowadzony, ale samo nawrócenie się tego melancholika sprawia efekt melodramatyczny. Potrzeba mu było aż tonącego chłopca, aby wyleczyć się z melancholii! A cóż zrobi taki, który tonącego nie zobaczy, a choćby go widział, nie przyjdzie z pomocą, bo pływać nie umie. Wszak to nie było nic innego, tylko ów t r a f, którego „piłką“ nie chciał być bohater noweli, a w którego potęgę przedtem już wierzył, bo „najkrańcowszy sceptycyzm o tej istocie niepochwytnej nie wątpi“.

---

wszy sposobność przyjrzenia się bliżej wojsku francuskiemu w mustrze i życiu koszarowem. Uprzedzony niekorzystnie przez wychowanie w szkołach niemieckich, oraz służbę w wojsku pruskiem do wartości żołnierza francuzkiego, poznałem dopiero teraz, jak nieuzasadnionem było to uprzedzenie. Wszędzie karność jak największa, pewność i akuratność w ewolucyach najtrudniejszych zadziwiająca, znać na każdym kroku zapał i oddanie się służbie u wszystkich szarż. Oficer francuzki, to salonowiec „par excellence“ w dobrem tego słowa znaczeniu, a stosunek jego do osób cywilnych tak szczery, a przytem tak wyszukanie grzeczny, iż bodaj czy korpus oficerski pruski w obcowaniu z sobą równemi posługuje się formami.

Że w Arrasie podczas kilkodniowego mego tam pobytu byłem rozchwytywany przez wszystkie szarże, skoro się dowiedziano, jaki mam zamiar i jakiej jestem narodowości, — wspominać zbyteczne. Oficerów najwięcej zajmowało, jak Polacy, zadowoleni są z jarzma im nałożonego, niższe szarże usłyszawszy, iż mają we mnie wysłużonego żołnierza pruskiego, do tego podoficera, dowiadywały się z ciekawością o służbie swych „najmilszych“ sąsiadów, a pojęcia, jakie mieli o Prusakach i ich żołnierzach, były zawsze nacechowane zawiścią nieubłaganą za poniesione klęski w roku 1870 i chęcią krwawego odwetu. Ducha tego krzewiła instrukcya dawana przez oficerów na każdym kroku. Przy jednej z takich instrukcyi, gdzie była mowa o obowiązkach żołnierza, zachodziła definicya miłości ojczyzny. Oficer objaśniając ją z ciepłem i rozrzewnieniem, zakończył poważnie: *Travaillons donc, n'oublions jamais la honte de soixante-dix.*

Pobawiwszy dni kilka w Arras, odebrałem dnia pewnego z biura regimentowego moją *„feuille de route“* z poleceniem, by za dni dziesięć stawić się na drugim końcu Francyi, też przy Pireneach, w Porte-Vendre. Mogąc rozporządzać czasem podług własnej woli, byleby tylko na termin oznaczony stanąć w Porte-Vendre, przytem mając możność używania jakichbądź pociągów kolejowych bezpłatnie, zatrzymywałem się po drodze po kilkakrotnie, by obejrzeć sobie miasta głośniejsze. Linia przepisana mi w Arras wiodła mnie na Amiens, Paryż, Versailles, Fontainebleau, Orléans, Nevers, Clermont, St. Etienne, Montpellier, Gette, Narbonne, Perpignan, w pobliżu którego leży mała przystań warowna, Porte-Vendre, z kądjak z Marsylii, odbywa się co czwartek wysełka rekruta do legii. Przybyłem jeszcze o dwa dni za wcześnie. Zgłosiwszy się u starszego załogi tamtejszej, wyczekiwałem bezczynnie przybycia okrętów, robiąc tymczasem znajomości z przyszłymi memi kolegami, którzy w podobny sposób, co ja, choć inną drogą, ze wszystkich stron świata tu dotąd się zjechali. Dziwne pomiędzy nimi tam były typy, które już wtenczas dawały mi obrazek, różnolitej składni półku, który na mnie czekał. Tu oto siedzi zatopiony w lekturę Fénelona farmaceuta z Kanady Amerykańskiej; tam ubrany w fez oryentalny; z typem semickim w twarzy ogorzałej duma kandydat rabinatu z Jerozolimy, którego gmina wysłała do wód karlsbadzkich dla poratowania zdrowia, a który wróciwszy do niego, miasto wracać do talmudu i do Palestyny, postanowił walczyć z Beduinami; tam znów w mundurze swego pułku ułan z Dysseldorfu, tam również umundurowany żandarm belgijski i tambur-major z Saragossy; — ów salonowo wystrojony młodzian, to Węgier, co przy wyścigach Paryzkich przegrał znaczny majątek i obawiał się wrócić do domu, — znowu inny, to posiekany akademik z Heidelberga, hrabia Baudissin, syn prezesa regencyi w Magdeburgu itd. itd. Było nas razem około 60, gdy wreszcie nadjechał okręt, który nas przewieść miał do Oranu. Podróż nasza szła koło Balearów, tak iż przy cudnej pogodzie dnia następującego wylądowaliśmy na wybrzeżu Afryki. Przyjęci zostaliśmy przez oddział załogi Orańskiej legii zagranicznej, który z najeżonym bagnetem nas oczekiwał w porcie, tak jak gdyby miał więźniów eskortować lub zbrodniarzy. Oficer dowodzący oddziałem wywoływał każdego imiennie i już na wstępie biedny tambur-major hiszpański oddany został do aresztu za to, iż podczas przejazdu kołdra od spania, którą każdy z nas na okręcie otrzymał, a przy wysiadaniu oddawał, mu zaginęła, albo raczej się zarzuciła. Otaksowano kołdrę na 25 fr., by potem później potrącać jej wartość od marnego żołdu legionisty (8 fen. dziennie) dopóty, dopóki towarzystwo okrętowe nie zostało odszkodowane. Ztąd poszło, iż w chwili opuszczenia przezemnie legii ciągle jeszcze biedny Pedro Gorgolea odbierał tylko połowę swej regularnej płacy.

Traf ratuje od pesymizmu i bohatera następnego szkicu „Zrozpaczony". Pesymista to najgorszego gatunku, bo źródłem jego choroby niezaspokojone, a płaskie żądze użycia. Co mu z bohaterów, mędrców, geniuszów, co mu z miast, pałaców, muzeów, pasztetów i storczyków, kiedy on się czuje tak nieszczęśliwy, iż dłużej żyć nie chce. Rotszyldzi mają miliony, Bismarki trzęsą światem, pierwszy lepszy tenor zgarnia złoto, a on ma puste kieszenie. Drwi z takiej cywilizacyi, która mu nie powala czerpać ze źródeł różnostronnych rozkoszy. Urodził się z rodziców biednych ale „karmazynów" więc smak posiada wykwintny — tymczasem u niego na ścianach wiszą zamiast Rubensów oleodruki. Żyjąc nad stan wszedł w długi, lichwiarze go nachodzą, a on czuje swą wyższość, prawo do bogactwa i rozkoszy. Już miał stanąć u celu marzeń, zaręczywszy się (on „karmazyn") z córką jakiegoś bogatego dorobkiewicza „mającą nieskończenie cienką skórę i nadzwyczajnie artystyczną duszę."

Ale kiedy ta „cienka skóra" dowiedziała się, że panicz goły, zapomniała o przysiędze wiecznej miłości, wypowiedzianej „na górskim szczycie z obłokami u stóp". Czując, że mu się usuwają miljony, że będzie musiał znosić dalej oblężenie lichwiarzy, pali tyradę na temat „bezduszności nikczemnych kokietek" i wyjmuje rewolwer z szuflady. W tem drzwi się otwierają, bracia panny przychodzą, czulą się.... Co się stało? Oto bohater wygrał wielką sumę na loteryi. Rzecz prosta, że na rewolwer już nie patrzy, lecz czuje się znów „lekkim i sprężystym" jak bohater pierwszej noweli. Ten sam skutek wydały różne przyczyny, a Orzeszkowa sentencjonalnie zapewnia, że „nie był on szaleńcem, ale jednym z owych, którym rozpacz w szczęście zamienić mogą pieniądze". Uzasadnienie tej tezy mogłoby być wówczas tylko interesującem, gdyby Orzeszkowa za bohatera swego nie wzięła najzwyklejszego pasożyta. Tego, że ktoś, dla kogo użycie jest celem, może wpaść w nędzną, poziomą rozpacz, kiedy mu środków zabraknie, a oddać się radości, jeżeli wygra na loteryi — dowodzić doprawdy nie potrzeba. Dla takiego indywiduum nazwa pesymisty, czy melancholika, jest niesłusznym zaszczytem — to zwykły błazen, kandydat na żoninego „utrzymanka", którego melancholję za dawnych czasów wyleczonoby radykalnie na kobiercu. Zresztą fakt wygrania wielkiego losu przez takie indywiduum, nie odstręczać, ale prowadzić może innych do pesymizmu, bo niesprawiedliwości losu jaskrawo dowodzi.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

K. Bartoszewicz.

Medycyna w powieściach Zoli.

W dziejach literatury „Rougon-Macquartowie" Zoli stanowią może jedyne zjawisko, w którem kombinacya sztuki i nauki przeprowadzoną została na tak wielką skalę. Jak wiadomo, punktem wyjścia tej „Historyi *naturalnej* i społecznej jednej rodziny z czasów drugiego cesarstwa" — jest histerya Adelaidy Fouque, której newroza zamienia się u potomków w pijaństwo, manię zabójstwa, manię religijną, nawet w geniusz, pokrewny jakoby obłąkaniu. Autor nakreślił sobie z góry szczegółowy plan na dwadzieścia kilka lat pracy i wykonał go ściśle, nazywając swą formułę naturalizmu „metodą naukową, zastosowaną do beletrystyki".

Estetycy i krytycy wszelkich narodowości wypowiedzieli już swoje niezliczone opinie o tej doświadczalnej teoryi; były tam głosy nieskończonego podziwu i uwielbienia dla pracy Zoli, było i zagrzebywanie całego kierunku naturalistycznego raz na zawsze.

Teraz przyszła kolej na zdanie ludzi nauki o dziele autora „Germinala".

Doktór Cabanés, redaktor paryskiej „Kroniki medycznej" wypowiada się pierwszy. Nie przyznaje on racyi teoryi naturalizmu. Uważa, że o ile dzieło uczonego nie jest osobistem, o tyle dzieło literata zależy wyłącznie od jego indywidualizmu.

Uczony niknie wobec doświadczenia: zjawia się jedynie po to, aby skonstatować rezultaty działania sił naturalnych: powieściopisarz, przeciwnie, musi wszystko wymyśleć, zarówno doświadczenie jak i jego następstwa. Z jednej więc strony znajduje się fakt rzeczywisty, który należy koniecznie skonstatować, z drugiej — czysta hypoteza.

Prawa dziedziczności nie są tak stanowczemi jak utrzymuje Zola. Są nieskończenie złożone i niezawsze się sprawdzają autor „Rougon-Macquartów" zmuszony był przypuścić, że nauka wypowiedziała już w tej kwestyi ostatnie swe słowo: „Poezyi nauki szukać należy obok nauki, po za nauką, ale nie w nauce".

Niemniej przeto obfitość szczegółów technicznych w powieściach Zoli tak zaciekawiła Cabanésa, że zwrócił się do samego mistrza w Medanieo wyjaśnienie, kto i w czem służył mu za przewodnika naukowego. Goncourt w ostatnim tomie swego „Dziennika" wspomina, iż Zola nosił się niegdyś z zamiarem napisania książki na tle życia Klaudyusza Bernarda, książki, w której chciał przedstawić nie znakomitego fizyologa w laboratoryum, lecz człowieka prywatnego „uczonego" który ma żonę zacofaną, bigotkę niszczącą jego prace".

Zacytowawszy tę notatkę, otrzymał Cabanés taką od Zoli odpowiedź, w sprawie źródeł naukowych, do słynnego cyklu jego powieści:

„Jerzy Barral, syn znakomitego agronoma, obiecał dostarczyć mi papiery pozostałe po Klaudyuszu Bernardzie. Uczony ten miał wrogów pomiędzy swymi najbliższymi; mogłoby to stać się przedmiotem do zajmującego dramatu. Pomysł przez lat dziesięć leżał w moich papierach, aż porzuciłem go ostatecznie. Nie mogłem zużytkować, tak jakbym chciał, strony osobistej Używałem wszelkich fortelów, aby stworzyć intrygę w moim „Doktorze Pascalu", lecz

---

Eskortowano nas do cytadeli położonej na szczycie skalistego wybrzeża orańskiego, zkąd się śliczny przedstawiał widok na morze środziemne. Cytadela ta nazwiskiem: fort Grégoire, mieściła całą i jedyną załogę wielkiego miasta Oranu. Nad nią, na ostatniej kończynie skalistego wierzchołka góry, stoi posąg kolosalny Przenajśw. Dziewicy z Dzieciątkiem, twarzą zwrócony ku Francyi. Na twierdzy tej wypadało nam znów dni kilka poczekać aż do przybycia okrętu z Marsylii i legionistów tam zebranych, by potem wspólnie ruszyć w głąb kraju na miejsce przeznaczenia. Zatrudniano nas czembądź, mnie dostało się miejsce w kuchni, gdzie na złe czasy i brak wolności uskarzać się nie miałem powodu. Gdy bowiem inni przez cały dzień znosili w workach ziemię żyzną z niziny i wybrzeża, by nią wysypać miejsce, przeznaczone na ogródek dla oficera komenderującego załogą, — ja, załatwiwszy swe interesa w kuchni, mogłem bez wszelkich trudności wraz z kucharzem, dezerterem wojskowym z Brunświku, wieczorem bujać po mieście, z czego też jak najrozleglejszy czyniłem użytek. Dziwny bo też urok ma tak kraj cały Algieryi jak i każda jego miejscowość. Oran sam cudownie jest położony. Śliczne bulwary i plantacye zbliżają go do przedniejszych naszych miast południowych; część jego europejska, wybudowana wspaniale i z matematyczną symetryą, zapominać pozwala, żeśmy z tamtej strony morza środziemnego, i chyba tylko malownicze rysy i kostyumy plemion arabskich, Beduinów i Kabylów, oraz mieszanina języków o niezwyczajnym dźwięku, przywodzi podróżnemu na pamięć, że się znajduje w innej części świata.

Najzwyklejszy z języków, którym w Oranie w szczególności, a na zachodnio-północnym wybrzeżu Afryki w ogólności, rozmawiają, jest język hiszpański, po handlach, w restauracyach, na ulicy krok w krok się go znachodzi, — językiem francuskim mówi tylko urzędnik, a i plemiona arabskie, w obcowaniu z Europejczykiem chętniej się posługują i lepiej znają język hiszpański od francuskiego.

Po nadejściu wyczekiwanego okrętu z Marsylii, który również około 60 przywiózł rekruta, zaprowadzono nas wspólnie na kolej żelazną, która łączy Oran z Tunisem, i wysłano na miejsce tymczasowego przeznaczenia t. j. do kompanii depotowych.

Legia zagraniczna, składająca się z dwóch pułków, ma tem samem i dwie kompanie depotowe, gdzie ćwiczą rekruta, zanim tenże przejdzie w kolumny. Depot pułku pierwszego garnizonuje w Sidi-bel-Abbès, drugiego w Saïdzie. Mnie, jako desygnowanemu do pułku pierwszego, Sidi-bel-Abbès przypadło w udziale.

W Sidi-bel-Abbès więc zamieniliśmy nasze ubranie cywilne na mundur legionisty. Mundur ten równa się całkowicie mundurowi linii francuskiej piechoty; czerwone spodnie, jaczka albo surdut z granatowego sukna, przy surducie przy okazyach świątecznych epolety z zielonemi sznurkami, na głowie kepi, pokryte powłoką płócienną, której część tylna w razie potrzeby opuszcza się, gdyby fartuszek, aż na plecy, by chronić od porażeń słońca, lub zwija się i spina dokoła czapki ponad rydelkiem, — płaszcz podobny do pruskiego, a dokoła stanu rozróżniający na pierwszy rzut oka legionistę od żołnierza z kraju matczynego pas niebieski wełniany na 3 metry długi, który jest nieodstępnym towarzyszem każdego żołnierza w jakiembądź umundurowaniu. Pas ten — „ceinture" — owija się gdyby powójnik około talii i nawet w nocy na gołem ciele lub koszuli przepisowo bywa noszonym, w służbie zaś nosi sie pod skórzannym pasem od pałasza. Zresztą wszystkie pułki kolonialne żuawi, spahiści, szaserzy itd. mają ten sam pas, tylko kolorem od siebie się różniący. — Obuwie legionisty to półbuty, na które wdziewa się białe jak śnieg płócienne kamasze, na guziki z boku pospinane. Oznaka legii zagranicznej — granata eksplodująca, umieszczona jest na kepi, gdyby kokarda, zamiast której „ponpon" z wełny o barwach francuzkiego „tricolore" sterczy ponad czapeczką. I guziki mosiężne umundurowania noszą każdy ową granatę eksplodującą z napisem w obwodce: *légion étrangère.*

(Ciąg dalszy nastąpi.)

nie skorzystałem z notatek, które mi dano o Klaudyuszu Bernardzie. Możnaby istotnie napisać wielki romans ze szczegółów, które przedstawiłem Goncourtowi, ale czy to kiedy zrobię — nie wiem...

Zkąd przyszła mi myśl wprowadzenia do romansów medycyny? — Dawna to historya!

Wydałem właśnie „Teresę Raquin" i „Magdalenę Férat". W tej ostatniej wspominałem poraz pierwszy fizyologię. Uderzył mnie fakt, zaobserwowany przez weterynarzy, że klacze rodzą potomstwo podobne maścią do pierwszego ojca. To zjawisko dziwnego przesiąknięcia starałem się zastować do rodzaju ludzkiego.

Postawiłem sobie pytanie i rozwiązałem je twierdząco: Młoda dziewczyna ma pierwszego kochanka; potem bierze drugiego i ma z nim dziecko, zupełnie podobne do poprzednika w miłości.

Może się to nie zdarza u ludzi, ale że kwestya została ostatecznie rozstrzygniętą przez hodowców, wolno mi było stawiać hypotezę. W tym samym czasie wpadła mi w oczy gruba książka Lucasa o „Dziedziczności naturalnej". Przez cały miesiąc studyowałem ją w Bibliotece narodowej i postanowiłem napisać cały szereg powieści, w których chciałem rozwinąć kolejne zjawiska dziedziczności. Inna jeszcze przyczyna zmusza a mię do pracy regularnej, do pisania tomu lub dwóch rocznie — troska o chleb.

Rozpraszałem się przedtem po dziennikach, ale wstrętnem mi się stało nareszcie owo pisanie od wiersza. Zaproponowałem przeto wydawcy Lacroix, że będę mu dawał dwa tomy rocznie za regularną płacę miesięczną.

Postanowiłem napisać seryę romansów, zabrałem się do pracy i przez dwadzieścia trzy czy cztery lata, podczas których obrabiałem moje dzieło, niewiele odstąpiłem od planu obmyślonego po przeczytaniu książki Lucasa. Nie znaczy to, że trzymałem się zawsze tego, co znalazłem w tej książce, dziś już przestarzałej. Przed kilku laty odwiedziłem Poucheta w Muzeum historyi naturalnej; znałem go przez Flauberta. „Jak daleko — zapytałem — zaszła obecnie nauka w sprawie dziedziczności"? — „Stoimy mniej więcej na miejscu — odrzekł. — Zresztą dam w tych dniach artykuł do „Revue des Deux Mondes", który pan sobie przeczytasz; jest to przegląd najnowszych prac w tej kwestyi". Później czytałem interesującą rozprawę agregacyjną dra Déjerine'a, oraz prace Weissmanna, gdzie znalazłem najnowszą teoryę „plazmy", o której doktór Pascal mówi w drugim rozdziale ostatniego romansu w moim cyklu.

W ogóle, aby sobie rozświetlić stronę medyczną kwestyj, o których mam pisać, zwracam się do znajomych mi lekarzy, trzymam się tego, co mi powiedzą i czytam wskazane przez nich prace.

I tak z powodu „Pogromu" poznajomiono mię z d-rem Felizetem, przyjacielem About i Sarceya. Felizet, który odbył kampanię pod Metzem, dostarczył mi szczegółów technicznych o ranach od broni, o opatrunkach, etc. Poznajomiłem się również z d-rem Albertem Robinem, d-rem Filleau i innymi, których często widywałem u Charpentiera.

Wspomniałem tylko co Flauberta — u niego także bywało wielu lekarzy i dużo tam mówiono o medycynie. W otoczeniu tem zebrałem wiele notatek.

Przy pisaniu „Lourdes" pragnąłem bardzo pomówić z prof. Charcotem, ale umarł właśnie, gdy miałem mu być przedstawiony. Zwróciłem się więc do jednego z jego uczniów, d-ra Gilles de la Tourette, który uprzejmie udzielił mi wyjaśnień. Przedstawiłem mu kwestyonaryusz, na który dał odpowiedzi.

Posiadałem cały zwitek dokumentów, o Bernadecie, lecz nie skorzystałem z niego. Trudno jest otrzymać protokóły lekarzy, musiałem poprzestać na prostych wyciągach. Pewnem jest, że w chwili objawienia Bernadetta miała to, co się nazywa aura. Usłyszała wielki szum, potem jakiś hałas; oddech jej się zatrzymał. Zdawało się jej, że widzi jasność... coś białego — oto wszystko, co mówi w pierwszem zeznaniu. Potem zaczęła się suggestya: Czy to była postać kobiety? Czy miała suknię białą? I w taki sposób w umysł dziewczyny powoli wsiąkła i idea objawienia...

Ale oddalam się od przedmiotu. Zawsze, ilekroć miałem opisywać chorobę, czerpałem wiadomości u ludzi kompetentnych lub z dzieł specyalnych. Dla opisania podagry p. Chanteau w „Rozkoszach życia" przeczytałem w tłomaczeniu francuzkiem pracę Anglika Garnoda. Kilka razy opisywałem połogi: tajemny połóg w „Pot Bouille", trudny w „Rozkoszach życia" i wreszcie połóg w „Ziemi".

Poczytano mi za zbrodnię te opisy. Literatura pełną jest opowiadań o umarłych, do przesytu mówią nam jak istota ludzka gnije i rozkłada się, nigdy zaś nie wspominają, jak przychodzi na świat... Nie rozumiem tego; bo czyż urodzenie istoty ludzkiej nie jest również tajemniczem, równie wzruszającem, jak jej koniec?...

Nie będę się rozwodził nad *delirium tremens* mojego Coupeau w „Assomoir".

Historyę tę znaleźć można w jednym z wykładów dra Magnana; nic w tem sam nie wymyśliłem. Bywałem wtedy na lekcyach klinicznych w szpitalu św. Anny i wyniosłem ztamtąd cały szereg notatek. Wiem, że studyowałem zapalenie mózgu gruźliczne do „Kartki miłości", ale nie pamiętam już gdzie.

Do „Doktora Pascala" doskonałych wskazówek dostarczył mi Maurycy de Fleur. Z nim to poszedłem na ulicę Charonne do lekarza chorób umysłowych, Moteta, który zapewniał nas, że wypadek ciotki Didy jest co najmniej prawdopodobny.

Naturalnie, że trochę przesadziłem, ale chodziło mi tylko o prawdopodobieństwo i o efekt dramatyczny. Zaprzeczano możliwości „spłonienia naturalnego" (combuction spontanée). Spotyka się jednak u różnych autorów obserwacye tego rodzaju, co prawda podejrzane. Mówią, że wskutek tego zjawiska pozostają kości i trochę bezkształtnej masy; w moim romansie pozostała tylko krew. Może byłem zanadto wyłącznym? Fleury utrzymuje, że śmierć starego Macquarta przez stwardnienie serca (cardiosclérose) wziąłem z klasycznego podręcznika prof. Dieulafoy. Jest to prawdą co do szczegółów, jak również prawdą jest, że przypomniałem sobie śmierć Trousseau i Juliusza Ferry: lecz w rzeczywistości już od dwudziestu lat postanowiłem, że mój stary Macquart w ten sposób umrze. Chciałem, aby skończył po królewsku!

Metoda leczenia doktora Pascala jest metodą Brown-Sequarda i Constantin-Paula, którą dr. Chéron rozwinął w swojem dziele „Prawa leczenia podskórnego".

Mógłbym mówić jeszcze o ospie, na którą umiera Nana, o wyrzutach skórnych Duveedy'ego w „Pot Bouille", o suchotach brzusznych Rózi, o suchotach La Grivotte, o wilku Elizy Rouquet, o paraliżu Maryi de Huersaint, o skrofułach małej Couteau i innych specyalnych wypadkach, zamieszczonych w „Lourdes" — ale po co? To nieciekawe!

A dla czego ja profan, wtrącam się do medycyny i do fizyologii? Dlaczego wciągnąłem naukę na posługi literaturze?

Znam zarzuty, jakie mi robiono: że doświadczenie w laboratorium nie może być porównane z dziełem wyobraźni; że w laboratoryum jest z jednej strony uczony, który patrzy, z drugiej — natura, która działa a dwoistość ta nie może istnieć dla literata. Zapewne, ale ja nie jestem uczonym, jestem powieściopisarzem, artystą; żądam jednak prawa wychodzenia po za rolę, jaką nam zwykle zakreślają. Mamy trzy strefy: pierwsza — rzeczy znanych, dowiedzionych, doświadczonych; druga — strefa nadnaturalności, absolutu, ideału. Pomiędzy niemi istnieje strefa pośrednia. Nie jesteśmy przecież zobowiązani zamknąć się w rzeczywistości, wolno nam wzdychać do niepoznawalnego.

Jestem zdania, że pomimo wszystko, prawda naukowa musi odnowić całą estetykę powieści i teatru..."

Na Wyłomie.

(Ks. biskup Likowski o bankructwie umysłowem Księstwa. — Przyczyny bankructwa. — Marniejące siły.)

Gdy na sali Bazarowej dzwoniły kielichy na cześć żegnającego miasto nasze prof. Wicherkiewicza, gdy jeden toast po drugim rozbrzmiewał nutą szacunku, wdzięczności i życzeń serdecznych, wtedy to padło smutne słowo z ust ks. bisk. Likowskiego, — słowo żalu i skargi, że Księstwo poznańskie spada na coraz niższe szczeble drabiny umysłowej, że dziwnie jałowem dziś jest życie nasze, i że ta ziemia, która przed laty nietylko sama bujnem życiem kwitnęła, lecz cząstkę sił swoich składała w darze bratnim dzielnicom, niebawem nic już do oddania mieć nie będzie i z Aten zmieni się w Spartę surową.

Smutna wróżba! Nam ona w uszach dzwoniła już wtedy, gdy myśl założenia organu literackiego dla ratowania dogorywającej umysłowości powstała i w piśmie naszem wcielenie swoje znalazła, — nam ona duszę męczyła już dawno i męka ta odzywała się nieraz żalem a nieraz ironią bolesną w łamach „Przeglądu". Lecz ponieważ to mówili „Młodzi", którzy sami, bez opieki powag uznanych, zabrali się do uczciwej i ofiarnej pracy, więc „Starzy" w organach swoich drwili i urągali. Pesymiści! mówiono. Malkontenci! wołano chórem harmonijnym, a gdy jeden z chorążych klerykalnego obozu ogłosił tomik niezłych przekładów Anakreonta, wtedy zwiastowano epokę rozkwitu literatury w Księstwie i śmiano się na całe gardło w „Kuryerze poznańskim" z tych, którzy z goryczą w duszy Poznań mianem Beocyi darzyli. Dziś ten sam „Kuryer" drwić się nie odważy, bo krytykiem nie jest „masoński" Przegląd, lecz książę kościoła, a przecież ks. biskup Likowski powtórzył tylko tę samą skargę, która przed niedawnym czasem stanowiła temat jałowych dowcipów dla stronnictwa klerykalnego.

Tak! Muzy do nas nie przychodzą w gości, Parnas nasz bez Bogów, świątynia nauki opustoszała. Moloch polityki pochłonął to bujne życie umysłowe, które niegdyś tak żywo pulsowało w Księstwie, i oto dziś stoimy jak żołnierze kresowi, dla których strategia jest nauką jedyną, fechtunek sztuką, gwar bitew muzyką, lub jak nowych episjerów gromada, czczących buchalteryę jak najwyższą wiedzę i rysunek banknotów jak najwyższe piękno. Siła stosunków politycznych z nieubłaganą konsekwencyą spychać nas musiała w niziny, — to fakt, któremu nikt nie zaprzeczy i który pół rozgrzeszenia dla Księstwa stanowi, — ale któż nas z winy zupełnie rozgrzeszy?! Część tej winy spada na ludzi, na wodzów

społeczeństwa. Sprawiedliwe słowa potępienia obijały się już nieraz o uszy nasze, a w ostatnim czasie Piotr Chmielowski, znakomity historyk literatury i znakomity badacz prądów nurtujących społeczeństwo polskie, wskazał w „Zarysie“ swoim na „Dziennik Poznański“, jako jedno ze źródeł naszej anemii umysłowej. Z jednej strony rozpolitykowanie całego kraju i odwra anie umysłów od zagadnień naukowej natury, z drugiej strony niesumienny a uporczywy kult dyletantyzmu w dziedzinie wiedzy i sztuki w tem właśnie piśmie znajdowały opiekuna, apostoła i potężnego krzewiciela. My Dziennikowi zasług narodowych nie odmawiamy, lecz w bilansie działalności jego znajdujemy poważne *minus* intelektualnej i moralnej treści. Życie narodu składa się z tysiącznych żywiołów i czynników rozwojowych, a każdy z nich jest niezbędny, każdy wymaga wielkiej miłości, jeżeli zdrowie społeczeństwa kwitnąć ma bujnie i prawidłowo. Wszelka jednostronność prędzej czy później zemścić się musi, i dla tego groźnem jest niebezpieczeństwem dla kraju, jeżeli na czele prasy, tej potężnej karmicielki narodów, tej nauczycielki i wychowawczyni społeczeństw — stoją ludzie o ciasnym widnokręgu i suchej umysłowości. Ludzie tacy mogą tu i owdzie odnosić zwycięstwa, mogą wykształcić w tym lub owym kierunku publiczność, jeżeli los obdarzył ich energią, sprytem i zręcznością, lecz w summie życia narodowego, w całokształcie rozwoju społecznego, działalność ich zawsze będzie krzywdą wielką.

A najniebezpieczniejsi stają się wtedy ci królowie prasy i opinii publicznej, jeżeli stronniczość koteryjna tak zamroziła ich instynkt sprawiedliwości i miłość dobra publicznego, że gotowi zawsze odsunąć od ołtarza publicznego ludzi najlepszej woli i zapału, skoro ich w liberyę swej służby lub mundur swojego pułku ubrać nie mogą. Ileż to sił w takich stosunkach iść musi na marne, ileż entuzyazmu, energii i miłości zamienia się w niechęć, odrętwienie i żółć! A strata taka dotkliwie tam mianowicie daje się we znaki, gdzie życie narodowe ściska jakiś olbrzymi pierścień żelazny, a ludzi czynu i myśli tak mało, tak bardzo mało!

Żal mi, żal wielki tych zmarnowanych dążeń i chęci, żal tych, których nieraz spotykam na drodze mojej, a którzy na dźwięk ożywczej pobudki, odpowiadają gorzkim uśmiechem rozczarowania i pogardy. Pracować? działać? Pocóż to wszystko? Oni niegdyś się rwali do czynu, marzyli o szerszem życiu, pragnęli elektryzować obumierający organizm narodowy, — ale wokoło nich zimno było i pusto, bo za dumni byli i za uczciwi, by umysł swój, serce i ciało ubrać w liberyę panującej koteryi. Wiem dobrze, że chodzą po ziemi nieraz silne duchy, których żadne wyklęcie w proch nie powali i żadna pustka nie wyziębi. Wiem, że są ludzie, dla których życiem jest walka z apatycznem lub wrogiem otoczeniem, i w których każda klęska budzi nowe siły, nowy fanatyzm, — dalej i dalej bez końca. Zwyciężą lub zginą, — lecz orzeł, ptak rzadki, — któż miarą jego mierzy zwykłe ptaki?! Są to świetne meteory, które raz po raz jawią się nad nami, ale często lata całe i lat dziesiątki tęsknimy za nimi napróżno. A tymczasem skromne ptaki zrywają się do lotu, by skrwawiwszy sobie skrzydła i stępiwszy dzioby o druty klatki więziennej, spaść w proch i wlec się po piasku z piołunem zawodu i rozczarowania w duszy. Nic o bohaterach tu mowa, bo ich natury wyjątkowe nie podlegają ogólnym prawidłom, ale o tych pracownikach niższego gatunku, którzy społeczeństwu pragną służyć uczciwie i których praca dla narodu wielkie może zgotować korzyści. Oni to w warunkach życia naszego, w nieznośnej, dusznej atmosferze, w teroryźmie koteryjnym, tracą nieraz siłę, zapał i giną dla kraju. Część ich wprawdzie po bezowocnych wysiłkach uchyla kark swój pod kaudyńskie jarzmo, pozwala się oprawić w przepisane ramki i działa dalej według komendy, — ale inni z twardszego ukuci metalu, z silniejszym indywidualizmem, niezdolni do odgrywania roli bluszczowych egzystencyi, — raz odepchnięci brutalnie, odchodzą i giną w kwietyźmie, cynicznem urąganiu lub szampanach życia.

Sulla.

TO I OWO.

W sprawie odnowienia Tumu poznańskiego.

Nasza krytyka artystyczna nastręcza tyle materyału humorystycznego, że możnaby nim zapełnić kilka roczników „Fliegende Blätter“ lub „Wespen“. Czego my nie chwalimy, czem my się nie zachwycamy! Niegdyś hr. Jan Działyński polecił fabryce Krzyżanowskiego wykonać odlew gipsowy własnej ręki. O tym odlewie zamieścił „Dziennik Poznański“ artykuł jako o arcydziele sztuki!! Lecz pocóż sięgać do skarbnicy dni ubiegłych. Wystarczy przeczytać panegiryk „Kuryera“ o restauracyi Tumu poznańskiego, aby nabrać pojęcia, jak dyletancką, lub — co gorzej — niesumienną bywa nasza krytyka artystyczna. Według organu klerykalnego jest odnowienie katedry arcydziełem, o którem pieśń mówić będzie i którem wieki całe zachwycać się będą. Ani jednego „ale“ — ani jednej plamki na słońcu, — niczem Sykstyńska kaplica, niczem freski Farnesiny lub loggie watykańskie w porównaniu do naszego Tumu. Pozwolimy sobie zachwyty te byzantyńskie do właściwych sprowadzić rozmiarów.

Rzeźby Marcinkowskiego i freski B. Łaszczyńskiego posiadają istotnie w części przynajmniej zalet cennych niemało. Treścią ich nie jest wyłącznie męczeńska askeza, lecz przeważnie dzieje Kościoła w dawnych ziemiach Rzeczypospolitej. *Suum cuique* — oddajmy cześć tej przewodniej myśli i pokłon względnego uznania artystom. Z punktu architektoniczno-estetycznego zwracamy jednak uwagę, że odpowiedniem miejscem na freski wielkich rozmiarów nie są płaszczyzny podziurawione oknami i lożami. Dowcipny malarz był nieraz w takim ambarasie, że tylko sztuczką ratować zdołał sytuacyę, wcielając np. jedno z okien kościelnych do obrazu, przedstawiającego męczeństwo św. Józefata. Lecz inne freski?! Św. Wojciech z jednej strony, w środku okno, a z drugiej strony nawracający się do chrześciaństwa lud. Taka kompozycya traci już nieco komizmem.

Do połamanych i przerywanych płaszczyzn nadawały się tylko pojedyńcze figury symboliczne (Rafael), a freski wielkich, obrazowych rozmiarów jedynie na obszerne płaszczyzny rzucane być winny np. w głównej nawie kościoła.

Nie znamy budowniczego, którego powołano do odnowienia katedry naszej, ale w głównem kierownictwie prac restauracyjnych czuć tu i owdzie dyletancką rękę. Presbyteryum np. odnowiono w stylu odrodzenia a w głównej nawie postawiono ambonę w stylu romańskim. Wprawdzie w bankierskich salonach panuje obecnie moda, by grupy mebli o najrozmaitszych charakterach mozaikowo ustawiać, lecz salon bankierski to nie tum starożytny. Rozumiemy jeszcze, że przez uszanowanie dla tradycyi, zachowuje się styl odrębny tej lub owej kaplicy, lecz kościół główny w jednolitym stylu odnowionym być winien. Ta romańska ambona kłuć musi w oczy tak samo, jak okna nad wielkim ołtarzem u fary, wymalowane w czystym gotyku, choć sam kościół zbudowany jest i dekorowany w ściśle przeprowadzonym jezuickim baroku.

Skarżył się przed nami niegdyś pewien budowniczy — archeolog z Krakowa, że mniej piękna zniszczyli Szwedzi w kościołach naszych niż nieuctwo i zarozumiały deletantyzm, który kierował się nie znajomością zasad sztuki, lecz panującą modą lub widzimisiem. Skarga ta aż nadto jest słuszną. Gotyk mieszano z barokiem i rokokiem, — romanizm z odrodzeniem, — lub, jak w tumie poznańskim, pociągano olejną farbą starożytne pomniki z piaskowca. Na pocieszenie dodajemy, że Katedra na Wawelu odnawiana jest przez biegłych archeologów i budowniczych, — w naszej Beocyi jednak, fachowość bywa uważana za zbytek, a króluje wszechwładny dyletantyzm. Polemika, dotycząca ruiny kościoła N. P. Maryi w Inowrocławiu, jest ciekawym przyczynkiem do historyi tych deletanckich uroszczeń, które tak gorzko sztuce naszej dają się we znaki.

Dla braku miejsca poprzestajemy dzisiaj na powyższej notatce, rezerwując sobie obszerniejszą dyskusyą na przyszłość.

* * *

Skromne życzenie.

Zbliża się sezon, w którym rokrocznie odbywają się walne zebrania najrozmaitszych Towarzystw zaboru pruskiego, n. p. Tow. Pomocy naukowej, Tow. Czytelni ludowych itd. Zebrania te połączone są zawsze z wyborami Zarządów, których część pewna na mocy przepisów statutowyhc kolejno ustępuje. Pragnąc szczerze, aby wybór każdorazowy miał charakter poważny i był istotnym wyrazem życzeń i poglądów większości członków, powtarzamy tu znowu życzenie, wypowiedziane już niejednokrotnie, by poszczególne dyrekcye Towarzystw raczyły przed zebraniam ogłosić w pismach publicznych nazwiska ustępujących członków Zarządu. Dotychczas to się nie dzieje, a skutek jest taki, że wybory mają prawie zawsze charakter improwizowany, że członkowie nie zdołają się porozumieć co do listy kandydatów, i kogo Zarząd pragnie, ten na wybór pewny zawsze liczyć może. Praktyka powyższa jest niesłuszną i wywołuje w szerokich kołach inteligencyi żal i niezadowolenie. Wyrażamy zatem nadzieję, że życzeniu zapisanemu powyżej już w najbliższych ogłoszeniach o dniu, godzinie i porządku dziennym walnych zebrań zadość się stanie, a zasada konsekwentnej dyskrecyi przejdzie w błogosławiony stan spoczynku.

* * *

Z etatu miasta Poznania na rok 96/97.

Projekt etatu szkolnego. W Poznaniu istnieją trzy szkoły płatne: jedna szkoła średnia dla chłopców, druga dla dziewcząt i szkoła obywatelska; oprócz tego sześć szkół bezpłatnych.

Ogółem dopłaci miasto w roku etatowym 96/97: *521,578* mr.

Dodatek ten rozkłada się na poszczególne szkoły, jak następuje:

I. Szkoły płatne.

1. Szkoła średnia dla chłopców: 23 klas, 28 nauczycieli,

dochód	40,711,80 mr.
rozchód	94,115,30 „
dodatek	53,403,50 mr.

2. Szkoła średnia dla dziewcząt: 13 klas, 19 nauczycieli,

dochód	24,887,00 mr.
rozchód	63,553,00 „
dodatek	38,666,00 mr.

3. Szkoła obywatelska: 21 klas, 25 nauczycieli,

dochód	20,887,00 mr.
rozchód	72,397,50 „
dodatek	51,510,50 mr.

Razem dopłaci miasto do szkół płatnych 143,580 mk.

II. Szkoły bezpłatne.

1. 17 klas,	19 nauczycieli		47,571,00 mr.
2. 14 „	16	„	44,888,50 „
3. 25 „	29	„	77,753,50 „
4. 14 „	16	„	42,388,50 „
5. 21 „	24	„	64,316,00 „
6. 14 „	16	„	39,760,50 „
Razem płaci miasto na szkoły bezpłatne . .			316,678,00 mr.
Oprócz tego wynoszą koszta gimnastyki . .			11,883,50 „
i reszta wydatków szkolnych			49,436,50 „
razem			61,320,00 mr.

Szkolne wynosi w obydwóch szkołach średnich dla miejscowych 40 mrk., dla zamiejscowych 72 marki rocznie; w szkole obywatelskiej dla miejscowych 18 mrk., dla zamiejscowych 50 mrk. rocznie.

* * *

„Arcydzieło."

(A.B.C.) Każdemu zapewne czytelnikowi „Dziennika Poznańskiego" znane jest pióro korespondenta krakowskiego, pana czy też pani M., który już od dość dawna uprawia w tem piśmie, z niemałem powodzeniem dział panegiryczny. Jemu to zawdzięczamy górnolotne opisy karnawałów krakowskich, które w prostocie swego ducha do uroczystości unii horodelskiej porównywał. W nim mają patrycyusze i pseudopatrycyusze nasi niezręcznego herolda swej wielkości, zdolnego ocenić geniusz nawet w sześciomiesięcznem książątku, on to nareszcie w ostatnich dniach zbogacił literaturę naszę, odkrywając a r c y d z i e ł o w całem znaczeniu tego wyrazu. Arcydziełem tem są: „Notatki myśliwskie" hr. Józefa Potockiego, które tenże autor w „s z c z e r e j s k r o m n o ś c i s w e j" postanowił ubrać w jak najpiękniejszą szatę, gdyż, jak się naiwnie wyraża krytyk, nie przeceniał ich treści, a chciał je uczynić godne uwagi czytelników. Szata piękna jest, jak wiadomo, rzeczą kosztowną, (zapytajcie Hersego lub paryskiego Wortha) nic dziwnego więc, że Notatki myśliwskie kosztują 15 rs., a p. M. myli się sądząc, że mniej obficie zaopatrzone kieszenie cenę tę za przystępną uważać będą, zwłaszcza, że treści sam autor nie przecenia. Zdaniem szanownego krytyka, to, że „druk czy oprawa, illustracye czy papier jednakowo są wyborowe i okazałe" wystarczy, aby książkę do rzędu arcydzieł zaliczyć, — społeczeństwo nasze jednak może się na tych zaletach nie poznać i piękny papier taniej wprost z fabryki sprowadzać. Pan M. będzie zapewne płakał nad jego indyferentyzmem, gdyż na Notatkach myśliwskich opiera moralne odrodzenie kraju. Mają one „rozniecać zainteresowanie łowów w sercach polskich czytelników", a jest to rzecz niezmiernej wagi, gdyż „prawy Polak musi być zarazem wielkim przed Panem myśliwym". — Prawy Polak musi zatem strzelać tygrysy w Indyach, lwy w Afryce, słonie na wybrzeżach Ceylonu, szkoda tylko, że jestto patryotyzm nieco kosztowny, nieprzystępny dla mniej obficie zaopatrzonych kieszeni, gdyż jak p. M. sam przyznaje, „wymaga to znacznego wydatku, znakomitych stosunków i listów polecających, nareszcie dokładnej znajomości angielskiego, k t ó r e g o u nas nie wiele kto posiada".

Biedna Polsko! Z chwilą, gdy wytrzebiono w tobie grubą zwierzynę, prawi synowie twoi za pomocą angielskiego języka i listów polecających, przy znacznych kosztach służyć ci muszą. Znajomość polskiej mowy im nie wystarcza, a nawet musi być chyba zbyteczną, sądząc z lekceważenia, jakie jej w każdem zdaniu p. M. okazuje. Twierdzi on np., że „tygrys o m y l a pościg pięciodniowy", że hr. Potocki używa „rodzinnego wyrazownictwa" itd. Fraszką wreszcie język i gramatyka; — są to rzeczy wcale niepotrzebne, zważywszy, że żyłka łowiecka i animusz myśliwski wystarczą zupełnie dla wyrobienia „wyższych umysłów i tęższych charakterów", że im właśnie „zawdzięczamy najpiękniejsze karty Pana Tadeusza", że wreszcie wszyscy znakomici Polacy byli zawołanymi myśliwymi i dla tego właśnie byli znakomici, (np. Kopernik!). Żyłka myśliwska budzi: „uśpione okolicznościami męztwo" jest środkiem „na zniewieściałość i wygodnictwo", „na zatycie ciała i ducha wśród komfortu cywilizacyi".

W tym względzie muszę wierzyć na słowo panu M. Komfort cywilizacyi nie dokuczył mi tak dalece jak hr. Potockiemu i jego panegiryście, dla tego też może zatycie ciała i ducha dotychczas mi nie groziło. Błogosławię zatem moje przeznaczenie; lekarstwo byłoby trochę kosztownem, a sądząc po autorze Notatek myśliwskich nie jest ono dla ducha zbyt skutecznem. Prawda, że hr. Potocki zakreślił sobie „myśliwski cel i granice" — jednakże może jeszcze z owego zatycia ducha wynika, że „pobieżnie tylko wspomina cuda przyrody i architektury", „że opisowości u niego mało", że „zanadto zaprzątniony sportem, aby sobie dać czas na inne poważniejsze zajęcia i badania". — Nie sądzę, aby to należało przypisać „umyślnej arystokratycznej prostocie", jak to czyni p. M. — któremu zresztą za to kapitalne wyrażenie „u m y ś l n a p r o s t o t a" należy się wieniec chwały. — Ta „prostota" zgina panu M. kolana, zachwyca go i „niewoli", że użyję tu jego własnego wyrażenia. Wspomina on ją kilka razy, a raz tylko zastępuje wyrazem „pokora". Hr. Potocki „z pokorą spowiada się z każdego „spudłowania", a jest tak skromny, że „nie gardzi żadną zwierzyną, nawet pawiem, gdy mu się na strzał nawinie". Jakie to wzniosłe! Naturalnie wobec takich zalet arcydzieła czytelnik zbyt cennych nabytków umysłowych z niego spodziewać się nie może. Dowie się wprawdzie, że „słoń nie jest wcale tak łagodnem i spokojnem stworzeniem, jak się przedstawia w menażeryach" (albo na obrazku), aleć sądzę, że najnaiwniejsze podlotki wiedzą, że spokój zwierząt w klatce pokrywa tylko „uśpione okolicznościami męztwo" — mówiąc stylem p. M. Z innych wiadomości zanotować należy, że druga wycieczka myśliwska „o s o b n e g o" nabrała wdzięku dzięki obecności małżonki hrabiego, w której żyłach nie darmo krew radziwiłłowska „g r a i p ł y n i e", wreszcie, że słoń ma „mózg d z i w n i e mały — obwarowany grubemi czaszki ścianami", co wreszcie, jak widzimy, nie jest wyłączną słonia tylko właściwością.

(Zob. Dziennik pozn. Nr. 50.)

* * *

Wskazówka dla Zarządu Czytelni ludowych.

Aleksander Świętochowski poświęca w Nr. 9 „Prawdy" następujące uwagi literackim upodobaniom ludu:

„W kilku pismach poruszono znowu sprawę książek dla ludu. Sądzę, że główną przyczyną nieporozumień w zasadach i błędów w czynach jest brak materyału obserwacyjnego. My rozprawiamy o potrzebach i upodobaniach ludu, snując przy biurkach logiczne dedukcye, które w praktyce okazują się całkiem fałszywemi. Tak np. zdawało nam się, że realistyczne utwory Prusów, Dygasińskich z życia wiejskiego znajdą szczególnie chętnych czytelników śród włościan, że oni z zachwytem zagłębiać się będą w opowieści o losach Slimaków, Michałków, Beldonków. Tymczasem lud — jak zapewniają ci, którzy go badali — nietylko nie zachwyca się takiemi nowelami, ale ich wcale czytać nie chce, a zagadnięty w tym przedmiocie — tłomaczy się.:

— Że chłop babę czasem wypierze, że parobek ożeni się z gospodarską dziewuchą, że dziad ukradnie kiełbasę, że krowy w zimie chude a masło drogie — to my dobrze wiemy i szkoda czasu panów na takie pisanie.

Człowiek prosty, niewykształcony w swych myślach i upodobaniach, nie odczuwa wcale artyzmu utworów beletrystycznych, a w książce szuka treści, nie formy. Chłop nasz swojej rzeczywistości nie lubi, więc nie lubi jej obrazów literackich, a talentu w odtwarzaniu jej ocenić nie umie. Dla nas jakiś Michałek lub Slimak Prusa jest postacią mało znaną, świeżą, a przytem zajmującą w artystycznem przedstawieniu; dla włościanina jest on istotą powszednią, a jego artyzm — niedostrzegalnym. Chłop wymaga od każdej książki nie sztuki, lecz nauki: dla tego czyta on najchętniej te, które mu ukazują nieznane światy, nieznane stosunki, fakty i prawdy. Jest on w daleko wyższym stopniu, niż my ukształceni, idealistą i chciwym wiedzy. Opowieści fantastyczne, opisy podróży, obrazy nadzwyczajnych poświęceń, odwagi, cnoty, wszelkie bajki słowem, cała literatura dziecinna, z drugiej zaś strony jasne i barwne wykłady astronomii, geografii, geologii, historyi itd. — oto jego ulubiona lektura, której się oddaje z dziwną wytrwałością każdej swobodnej chwili. Jest to wreszcie faktem nader pouczającym a wielokrotnie zauważonym, że lud w zakresie beletrystyki lub poezyi woli opowiadania długie, niż krótkie. Mocne potwierdzenie tego faktu znajdujemy w świeżo ogłoszonem sprawozdaniu jednego z pisarzów rosyjskich, który w t. zw. „katordze" (ciężkich robotach) czytał kolejno skazańcom rozmaite utwory swojskie i obce. Otóż spostrzegł on, że większych słuchano z ogromnem zajęciem i niestrudzoną uwagą, podczas gdy drobne nie sprawiały wrażenia. Tak np. więźniowie gotowi byli po dziesięć razy słuchać obszernych powieści Dickensa, a tak, zdaje się, zrozumiały i ponętny dla nich „Szynel" Gogola nudził ich. Zjawisko to objaśnia się naturalnie: umysł nieoświecony, ciężki, z trudnością wprawiający się w ruch, zanim zdąży uchwycić wątek krótkiej noweli, nagle jej nić mu się urywa; natomiast przy powieści długiej ma czas się rozruszać i wtedy już ciekawość go nie opuszcza. Jest to bardzo ważna wskazówka dla autorów i wydawców książek ludowych".

* * *

Odgrzewany artykuł i kompromitacya reklamy.

W wiedeńskiem czasopiśmie „Neue Revue" czytamy:

„Odwiedziny młodego Polaka u Goethego" — taki był tytuł artykułu, który się ukazał w r. 1839 w polskiem piśmie „Przyjaciel Ludu" i omawiał odwiedziny polskiego pisarza A. E. Koźmiana u Goethego. Lwowski miesięcznik „Przewodnik naukowy" (dodatek do „Gazety lwowskiej"), który długi czas publikował listy Koźmiana, wydrukował w zeszłorocznym zeszycie grudniowym jako dopełnienie „Listów" ów artykuł z r. 1839, omawiający wizytę Koźmiana u Goethego. Odgrzewany artykuł zwrócił uwagę krajowej i pozakrajowej prasy i był przedrukowany w całości lub w wyjątkach we wszystkich niemal pismach austryackich, niemieckich, francuskich i angielskich. Wszędy, gdzie się wycina, nalepia i drukuje, było wszystko w

pełnej czynności, a nawet telegraf zaniósł ową wiadomość o wizycie Polaka u Goethego do najdalszych ludów. Nie dość na tem, jeden z Polaków w Wiedniu żyjący, Alfred Szczepański, miał niedawno odczyt o owych odwiedzinach młodego Polaka u Goethego w tamtejszem tow. im. Goethego, złożonem — zwracamy na to uwagę — ze znawców i badaczów życia Goethego, którzy młodszego Polaka, prelegenta o odwiedzinach „młodego Polaka“ nagrodzili hucznemi oklaskami. Nowe sprawozdania po dziennikach, nowe telegramy etc. Nieco słabnące zainteresowanie na nowo rozbudzono dziękczynnem pismem, jakie wystosował przewodniczący tow. Goethego, generalny intendant teatru, baron Bezecny do p. Szczepańskiego, które brzmiało, jak następuje: „Zajmującym odczytem „Odwiedziny u Goethego“, poświęconym nam łaskawie w d. 7 b. m., skreśliłeś WP. niemieckiej publiczności w sposób nader interesujący i zrozumiały wrażenia, jakie sprawiał Goethe na tych, którzy go odwiedzali, a zarazem z pamiętników znakomitego pisarza, Koźmiana przysporzyłeś W. Pan nowy, ważny materyał dla badań nad Goethem. Wydział tow. Goethego czuje się wobec tego zobowiązanym złożyć należne podziękowanie.... Podpisy. W imieniu wydziału baron Bezecny, radzca cesarski“. — Mimo pochlebnego podziękowania w imieniu towarzystwa, nie możemy być w żaden sposób tego samego zdania, co światli członkowie owego towarzystwa, jakoby „do badań nad życiem Goethego nowy, ważny materyał dostarczono“. Niestety skontatować musimy, że ów materyał, pominąwszy już to, że w r. 1839 polskie czasopismo takowy wydrukowało, — dostępny jest i niemieckiej publiczności od lat dziesięciu. By dopełnić miary boleści, zwrócić musimy na to uwagę, że ów materyał, którego „nowość“ towarzystwo imienia Goethego z takim naciskiem podniosło, opublikowany został w języku niemieckim w r. 1886. Ponieważ ludzkość nakazuje przy zwiastowaniu smutnych wiadomości komunikować je w małych dawkach, więc komunikujemy dalej, iż ów drukowany artykuł nosił tytuł: „Zwei Besuche eines Polen bei Goethe“ a odnośnik objaśniał: „Mitgetheilt von A. Zipper in Lemberg. Der Besucher und Erzähler ist A. E. von Koźmian. Er hat seinen Besuch in der polnischen Zeitschrift „Przyjaciel Ludu“ 1839 geschildert“. — A gdyśmy już w ten sposób w żałobie pogrążone towarzystwo imienia Goethego należycie przygotowali, niechże się ono dowie rzeczy najstraszniejszej, mianowicie: ten sam artykuł pojawił się w VII. tomie wydawanego przez niemieckie towarzystwo im. Goethego „Goethe - Jahrbuch“ i widnieje na stronach 220 do 238. — O współczucie dla wiedeńskich badaczy Goethego, którzy nie znają treści ich najbliższego, fachowego organu, uprasza się. Wieńców się nie przyjmuje“.

Znakomici uczeni!

* * *

Szczególny „five o clock tea“.

Przy ulicy de Longchamp w Paryżu urządził pewien uczony przyjęcie dla znakomitości francuskich, a obecnie dopuszcza całą publiczność do zwiedzania tego apartamentu. Trudno opisać jak się w nim francuzi bawią.

Jeden ze znakomitych przyrodników paryskich tak opowiada ową „herbatkę“ inauguracyjną.

U wejścia odrazu jedno cię uderza: nigdzie lamp ani kandelabrów, a jednak widzi się doskonale; dziwna jasność oświeca sprzęty, osoby i ściany. Rzekłbyś, że to niewidzialny księżyc przez niewidzialne otwory przesiewa swoje srebrne światło. — Jedwabne obicia ścian wydają złotawy łagodny odblask, z sufitu tryskają promienie brylantowe. Dywany na podłodze świecą, filiżanki również, czajnik błyszczy. Nad obrazami i kwiatami skaczą punkta świetlne, jak międzyzwrotnikowe owady. Sprzęty, jakby potarte fosforem, miejscami na murach widać broń, rysunki symboliczne, cyfry, liście, arabeski błyskają to turkusową, to topazową jasnością. — Dziwny widok dla wchodzącego z ulicy.

Światło jest wszędzie i niema go nigdzie. Suknie pań są świetlne, fałdy za każdem poruszeniem rzucają błyskawice; twarze są białe, promieniejące bladą światłością. Ręce nabierają podobieństwa do błędnych ogników. Zewsząd otacza nas jak gdyby przytłumiony ogień, który jednak nie pali, i atmosfera łagodnego światła, która zaledwie powstała przed zdumionym wzrokiem, niknie i odradza się znowu.

Jest to coś nadzwyczajnego.

Być bardzo może, iż to wszystko jeszcze nie doskonała próba powszechnego oświetlenia przyszłości. Kto wie, czy za dni niewiele ściany, mury, gmachy, słupy nie będą świeciły przez noc całą — i czy noc, ciemna, ponura noc, nie zniknie na zawsze z miast, aby bronić swego istnienia po polach, łąkach i lasach.

Salon, o którym mowa, wyprzedził czasy, jako prototyp oświetlenia wszystkich mieszkań za lat kilkanaście.

Ale sposób?

Spytajcie się wynalazcy, pana Karola Henry, profesora Szkoły Wyższych Nauk, który dotąd nie wyjaśnił tajemnicy. Domyślać się tylko wolno, że materyą świetlną jest pewna kombinacya cynku i siarki.

Wiadomo już bowiem nie od dzisiaj, że niektóre substancye, wystawione na działanie światła słonecznego, lub nawet magnezyowego, nasycają się tem światłem i błyszczą w ciemności. — Do takich właśnie ciał należy połączenie siarki i cynku w postaci proszku, który można mieszać z gumą, krochmalem, olejami i t. p. Jego świetlnych własności nie narusza nawet woda, kwas węglowy, amoniak. Dodany do krochmalu i użyty do bielizny, sprawia, iż i one świecić będą. Toż samo, jeśli napoimy tkaniny wszelkie, sukna, koronki i t. p. prześlicznie szerzą blask fosforyczny. Obicia papierowe błyszczą w ciemności, a suknie lekkie, tarlatany, tiule napojone lekką mieszaniną krochmalu i owej kombinacyi siarko-cynkowej wyglądają jakby z promieni utkane. Nadto z proszku można otrzymać ciało stałe, z którego wyrabiałyby się brosze, kolczyki i t. p. klejnoty. . świecące.

A co najważniejsza, to, że proszek siarkowo-cynkowy zastąpić może mąką ryżową (*poudre de riz*), i może paniom oddać nieocenione przysługi. Twarz, posypana tym proszkiem, nie obawia się słońca, ponieważ nowy „pudr“ silnie pochłania promienie słoneczne, które szkodliwie działają na skórę, przepraszamy, na płeć, i wywołują piegi, plamy czerwone i inne klęski. — Jakaż wygoda dla cyklistek, amazonek, turystek! Parasolka staje się zbyteczną, a dama wracająca z przechadzki, stanie się światłem domu, jak była dotąd jego ciepłem.

KRONIKA LITERACKA.

* **15 „Przędziwo,“** książka dla młodzieży, wydawnictwo imienia P. Krakowowej; Warszawa, 1896 r.

W „Przędziwie“ czytelnik znajdzie bardzo wiele rzeczy pouczających a zajmująco pisanych. Czy to będzie pogadanka z dziedziny fizyki, botaniki, entomologii, czy geografii — zawsze ona zajmie czytelnika swem barwnem tłem, na którem forma historyjki, bajeczki lub opisu podróżniczego żywszą się wydać musi. Są tu także i nowelki, humoreska i komedyjka, są epizody z życia Drużbackiej i Kochanowskiego, są opisy wycieczek w kraje obce lub fantastyczne i... dwie poezye, dwie tylko, lecz różne wartością.

Nawet szary ten skowronek
Nad zagonem wiosną wzbity,
Lecieć musi (?) cały (?) dzionek
Nim doleci tam, w błękity (!?)
I choć już nie widzi gniazda,
Ani wioski po nad rzeką,
I najmniejsza nawet gwiazdka (??)
Wyżej jeszcze hen daleko.

A jednak pod tym słabym ośmiowierszem podpisała się Marya Konopnicka... Szczęściem „Stary rybak“ Kazimierza Glińskiego jest pod względem myśli — arcydziełem.

Na morze!... ja syna wam daję... sły-
[szycie?!!

Syn Jana przewozi łodzią przez morze ludzi, udających się na połów, lecz noc, burza, łódź krucha, przeładowana... Trza ulżyć ciężaru tej łodzi.

— Do wioseł z sił wszystkich!...

I skoczył w głębinę. Rybacy z przestrachu pobladną.

— Z sił wszystkich!..., w głos krzyknął — ja płynę, ja płynę!...

I cicho osunął się na dno...

W kilku wyrazach namalowany jest tu bohater, poświęcający siebie, byle ocalić życie bliźnim.

Przybili do brzegu... Strach patrzał im z czoła, co mówić im w onej godzinie?

— Gdzie syn mój, gdzie syn mój?! — Jan stary zawoła. Strwożeni odrzekli mu:

— Płynie!...

Lecz pieśnią zagłady gra morska głębina, daremna tu wszelka rąk praca.

— O morze! — zawoła — Wróć syna, wróć syna!

Lecz morze swych ofiar nie wraca. Grzmi tylko i huczy, w gwar wichrów szczeleszcze, bezdenną przeraża głębiną..

— Ha — szepnął po chwili — mam synów dwóch jeszcze i oni na morze wypłyną...

Gdyby w „Przędziwie“ nic więcej nie było, tylko ta perła, i gdyby nasza młodzież wszystka była dziećmi tego starego rybaka, już pożytek z książki byłby bardzo duży...

Józef Waśniewski.

* * *

* **Nowy dramat.** Sewer Maciejowski napisał dramat ludowy, nie mający jeszcze tytułu. Treść następująca: Jan Łupa, syn najbogatszego we wsi gospodarza, wraca do miejsca rodzinnego z uniwersytetu, na który wbrew woli ojca uczęszczał. Zajeżdża do domu dziewczyny, którą kocha oddawna i przeznaczył sobie za żonę. Na wstępie spotyka się ze skargami wieśniaków na starego Łupę i z prośbami pokrzywdzonych, by ich od procesów i lichwy ojca obronił. Młody człowiek nie wierzy skargom ich, przekonywa się jednak wkrótce, że słowa ich były prawdą. W gorących słowach błaga ojca, by skrzywdzonym powrócił ich mienie. Ale stary Łupa ani słyszeć nie chce o zwrocie tego, co uważa już za swoje. Rozpoczyna się proces między gromadą a starym Łupą, w którym Jan, ulubieniec gromady, staje przeciw własnemu ojcu. W toku jednak procesu Jan, prawnik z zawodu, przekonywa się, że sprawy z sądu cywilnego przejść mogą przed kratki sądu karnego. Powodowany miłością synowską, raz jeszcze udaje się do ojca i błaga go, by dobrowolnie oddał, co zagrabił. W scenie, w

której niskie namiętności ojca ścierają się z podniosłą etyką syna Łupa usiłuje najpierw syna przekupić, a gdy mu się to nie udaje, odrzuca wszelkie jego żądania, przeklina go i zabrania wstępu do siebie. Proces tymczasem kończy się, dobra sprawa zwycięża, Łupa dostaje wezwanie z sądu karnego i w obawie przed kryminałem wiesza się. I jeszcze jedna scena. Oto Jan, spadkobierca ojcowskiego majątku, w mrocznej izbie ojcowskiej chałupy wsłuchuje się pełen przerażenia i rozpaczy w jakieś głosy tajemne, które w głębi jego duszy wołają, że jest zabójcą ojca własnego. Dramat pisany barwnym, wiernie ludowym językiem, pełen dobrze pomyślanych sytuacyi, żywy w akcyi, jest może najlepszem dziełem autora „Nafty“. Charaktery tak głównych, jak drugoplanowych figur sztuki rysowane są śmiało, a wycieniowane nader subtelnie. Akcya za każdą sceną rozwija się w sposób coraz bardziej interesujący. Utwór ten odczyta pan J. Kotarbiński w krakowskim „Związku literackim“.

* * *

* Zygmunt Sarnecki napisał nową sztukę w 5-ciu aktach „Półdjable“. Rzecz się odgrywa, na okręcie powracającym z Indyi z wyprawy myśliwskiej.

* * *

* Dr. Piotr Chmielowski pracuje nad studyum o feljetonistach polskich.

* * *

* **Ciszewski** Stanisław. Krakowiacy. Monografia etnograficzna. Tom I. Kraków 1894. Nakładem autora. Str. 383 w 8-ce dużej.

Monografia powyższa zakreśloną została przez autora na duże cztery tomy. Tom I obejmuje: podania, powieści fantastyczne, powieści anegdotyczno-obyczajowo-moralne, bajki o zwierzętach, zagadki i łamigłówki. W tomie II — jak zapowiada przedmowa — znajdziemy: zwyczaje, obrzędy, wiedzę ludową i wierzenia: w tomie III — pieśni, w IV — studyum o ludzie oraz materyały statystyczne i językowe. St. Ciszewski w gronie naszych etnografów odznacza się wyrobioną metodą naukową w spisywaniu materyałów. Dawniej już wydał monografię: „Lud rolniczo-górniczy z okolic Sławkowa w powiecie Olkuskim“ (Kraków 1885). „Krakowiacy“, biorąc topograficznie, są jakby jej dalszym ciągiem. Pragnąc scharakteryzować Krakowiaków, jako odrębną grupę etnograficzną i wykreślić jej granice, autor wędrował od wioski do wioski, przebywał z ludem każdej wioski czas dłuższy, a wszystko, co z ust ludu słyszał, zapisywał ze ścisłością stenografa i filologa. Bardzo ważną część tej pracy zawiera tom pierwszy. Mieści on 277 podań, powieści i bajek, oraz 512 zagadek i łamigłówek. Obfity to materyał dla etnologów i badaczy gwary krakowskiej. Dla ułatwienia pracy pierwszym, autor każdą powieść i bajkę zaopatrzył w dokładny nagłówek; wykaz wątków powieściowych i mitologicznych obiecał podać w jednym z tomów następnych. Oprócz spisu rzeczy, na końcu książki znajdujemy „abecadłowy wykaz przedmiotów, omawianych w zagadkach i łamigłówkach.“

* * *

* **Sonnenberg** Dr. E. Dyskrecya lekarska ze stanowiska prawnego i etycznego. Odbitka z „Medycyny“. Warszawa 1895.

Prawo zabrania lekarzom zdradzania tajemnic chorych i w razie przekroczenia odnośnych przepisów karze ich surowo. Jak pogodzić te przepisy nieraz z koniecznością zdradzenia tajemnicy (np. w wypadku, jeżeli osoba dotknięta chorobą zakaźną, chce wstąpić w związki małżeńskie, lub zajmuje się przygotowywaniem przedmiotów spożywczych) — oto pytanie, jakie zadaje sobie dr. Sonnenberg. Po przytoczeniu kilku faktów i dyskusyi, autor przychodzi do wniosku, że we wszystkich wypadkach, kiedy choroba pacyenta, może przynieść szkodę społeczeństwu, lekarz powinien być zwolniony z sekretu zawodowego. Praktyczne rozwiązanie — według autora — przedstawia się jak następuje: należałoby poddawać peryodycznej obserwacyi lekarskiej osoby, pracujące w zakładach, wyrabiających materyały spożywcze, jak również osoby, funkcyonujące jako niższe organy ciała lekarskiego (felczerów, akuszerki itd.). wreszcie należałoby wymagać od osób, życzących sobie wstąpić w związki małżeńskie, świadectwa zdrowia, wystawionego przez urząd lekarski.

Autor słusznie zwrócił uwagę na to, że ludzie biedni jak pod każdym, tak i pod względem dyskrecyi lekarskiej są upośledzeni. W szpitalach nad łóżkiem każdego chorego znajduje się tablica z wypisanem jego nazwiskiem i chorobą; w klinikach referaty studentów odczytywane są głośno wobec służby szpitalnej. Gdzie w tym wypadku podziewa się sekret zawodowy?

L. W.—k.

KRONIKA POWSZECHNA.

Wiadomości polityczne i społeczne. Mowy ministra Bossego wymierzone w sejmie pruskim przeciw Polakom, wywołały w całem społeczeństwie polskiem niezwykłą sensacyę. Z posłów polskich bronili praw naszych z uznania godną zręcznością i energią pp. Motty, Jażdżewski i Schroeder. — Klęska Włochów w Afryce spowodowała w Rzymie i innych miastach wielkie zaburzenia. Powołano pod broń rezerwy. Nowe posiłki odpłynęły już do Afryki. Gabinet Crispiego podał się do dymisyi. — Zatarg między Stanami Zjednoczonemi Ameryki północnej przybiera coraz poważniejsze rozmiary. Izba reprezentantów w Waszyngtonie przyjęła 203 głosami przeciw 16 rezolucyę, przyznającą powstańcom na Kubie prawa strony wojującej. — Projekt opodatkowania cukru napotyka w prasie niemieckiej najróżniejszych odcieni zaciętych przeciwników. Widoki przyjęcia projektu w parlamencie są słabe. — W Indyach wschodnich, wybuchło powstanie, którego ofiarą padło już kilka stacyi misyjnych.

Teatr i muzyka. W czwartek, dnia 12 marca rb. odbędzie się na sali Lamberta koncert znanej z swych występów w Poznaniu śpiewaczki koncertowej p. Sanderson z współudziałem pianisty Edwarda Behma, na co lubownikom dobrej muzyki zwracamy uwagę. — Nowa artystka sceny poznańskiej, p. Pankiewicz, zdobyła sobie uznanie krytyki i publiczności grą inteligentną, subtelną i znakomicie cieniowaną w Ohnetowskim „Właścicielu Kuźnic“. Wymowa wprawdzie posiada pewne usterki i głos nie odznacza się skalą szeroką, lecz mistrzowska mimika, niepospolita rutyna i dość znaczny zasób uczucia stanowią cenne zalety nowej heroiny teatru poznańskiego. Mniej korzystne wrażenie wywarła p. Pankiewicz w „Halszce z Ostroga“. Do bohaterskich ról takiego zakroju brak artystce zewnętrznych warunków i siły odpowiedniej. — W czwartek ubiegły odegrano na benefis p. Vernon trzyaktową komedyę Meilhaca i Halevy'ego p. t. „Kuglarka“. W utworze tym pozbawionym głębszych artystycznych zalet odznaczyła się beneficyantka grą starannie wyrzeźbioną i swobodną. Na uznanie zasługują także pp. Jakubowski, Czerniak i Nowacki. — Dziś, w sobotę, odegraną zostanie na dochód pana Skóraczewskiego czteroaktowa komedya Świderskiego pt. „Ojcowizna“. Pan Skóraczewski jest nader sumiennym artystą i doczeka się niezawodnie w dzień swego benefisu objawów sympatyi ze strony publiczności. — P. Myszuga na swój benefis śpiewał w Kijowskiej operze Halkę po rosyjsku. Dzienniki miejscowe zarzucają mu brak dokładnej znajomości jezyka rosyjskiego i są z tego niezadowolone. — W warszawskim teatrze „Rozmaitości“ rozpoczeto próby z nowej sztuki Graybnera pod tyt. „Odstępca“. — Tow. muzyczne lwowskie stara się o pozyskanie p. Henryka Melcera na profesora wyższej klasy gry fortepianowej. — W najbliższą sobotę, 14 bm. usłyszymy w teatrze poznańskim jeden akt „Halki“. Pomysł ten zawdzięczamy utalentowanemu beneficyantowi p. Nowackiemu. Oprócz „Halki“ zapowiada afisz głośną komedyę „Rozwiedźmy się“ i popis baletowy pani Knapczyńskiej i p. Dolińskiego.

Opera czeska w Krakowie. Czytamy w „Nowej Reformie“: „Pomysł sprowadzenia opery czeskiej do Krakowa uważamy za bardzo szczęśliwy i mamy ufność, iż publiczność nasza niezawodnie przepełniałaby teatr na przedstawieniach jej, prowadzonych wzorowo. Dyrektorem czeskiego teatru narodowego w Pradze jest wielce zasłużony patryota czeski, twórca czeskiej wystawy etnograficznej, pan Szubert, znany z wielkiej przychylności dla Polaków. Byłby on wraz z podwładną sobie artystyczną drużyną bardzo mile widzianym w Krakowie“.

AFORYZMY.

Wdzięczność znikła z powierzchni ziemi tego samego dnia, w którym człowiek wyświadczył pierwszą przysługę bliźniemu. Od tego czasu domyślają się tylko jej istnienia dla tego, że skoro istnieje niewdzięczność, musi też istnieć i wdzięczność.

Merimée.

—

Odwróćcie zwierciadło zdarzeń wypadkowych, a wówczas iluż to wielkich ludzi nagle zmaleje?

Swift.

—

Prawdziwie rozumny człowiek zawsze mniema, że prowadzący z nim rozmowę, rozumniejszym jest od niego.

Swift.

—

Muzyka przyszłości nie ma przeszłości; muzyka zaś przeszłości — ma przyszłość.

Gounod.

—

Wszelka większość zawiera mało mózgów, a dużo uszu zatkanych.

Sieyes.

—

Zachwyt i heroizm — rodzeni to bracia.

Goethe.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

— **Weteran.** Domysły Szanownego Pana są słuszne. Kuryer w sprawozdaniu z odczytu ks. Adamskiego pominął zupełnie mnóstwo niedorzeczności, wypowiedzianych przez prelegenta; lecz i to, co referat podaje, charakteryzuje dokładnie naukową wartość odczytu. Streszczając przemówienie dr. Rabskiego, przekręcił oczywiście Kuryer w znacznej części wypowiedziane opinie i opuścił kilka poważnych zarzutów. W ten sposób salwuje się prelegenta, a dyskredytuje opozycyę.

— **K. J. z N.** Miłoby nam było zawrzeć bliższą znajomość z autorem, którego poezyom jeszcze gościnności udzielić nie możemy, któremu talentu jednak nie zaprzeczamy. Zawody, na które Szanowny Pan tak gorzko się skarży, są zwykłym losem wszystkich początkujących literatów. Radzimy nie brać położenia swego nadto tragicznie i nie porzucać pióra, które nie jest pozbawione miękkości i stylu. Zalecamy jednak spróbować sił swoich w innych dziedzinach belletrystyki, — talent nie zawsze trafia od razu na pole dla siebie najwłaściwsze. Z utworów nadesłanych najwięcej zalet literackich posiada „Pieśń moja“ i „Czemu“, lubo ostatni utwór trąci bardzo silnie Słowackim.

— **St. M.** W wierszu „Resurges“ razi wysilenie i napuszystość formy. Prosimy o więcej próbek

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“ w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28